



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCOJ

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WRÓĆ!

Ty, dziecię raju i słońca,
Dziewico w szacie godowej,
Co zbiegasz z końca do końca
Świat, krusząc lodów okowy,
I z dłoni swej szczodrobliwęj
Kwiat sypiesz na łąki, niwy:
Słonecznej ciepłem pogody
Omdlałą ziemię cuć,
Przyjdź, wskrzesicielko pogody—
Wróć, dziewo wiosno, wróć!

Ty, co masz z rajskich pól czary,
Co z wieków toni głębokiej
Brzmisz głosem miłości, wiary,
Zaklęta w pieśni uroki:
Ogrzej nam dusze zmartwiałe,
A wieczną krasę i chwałę,
Na szare pasmo żywota,
Jak płaszcz królewski, rzuć,—
Niech serc się koi tęsknota,—
Wróć nam, poezyo, wróć!

Ty, prawdy i krzyża córo,
Siostrzo miłości, nadziei,
Co świecisz gwiazdą za chmurą
Wśród błędnych złudzeń zawiei:
Wciąż prawdy ukazuj słońce,
A dusze słabe i drżące
Utulaj skrzydłem anioła,

Zwątpienia męki skróć,
Chryzmem namaszczaj nam czoła,—
Wróć, święta wiaro, wróć!

Ty, przekazana spuścizną
Po ojcach, co żyli święci,
Stwierdzona niejedną bliźną,
Wyryta w dziejów pamięci:
Króluj wciąż u nas, niebianko,
Bądź naszych domów kapłanką,
Ucz w imię dobra przyszłości
Wiekową przedzę snuć,—
Niech błogość twa w sercach gości—
Wróć, stara cnoto, wróć!

Ty, stróżu dobra, zamknięty
W odwiecznym świata zakonie,
Co, w prawach swych nieugięty,
Ciernie nam wtłaczasz na skronie,
Do sumień wołasz zwysoka
Strasliwym głosem proroka:
Choć masz w niezłomne okowy
Uporną wolę skuć,
Przyjdź, mistrzu srogi, surowy,—
Wróć, obowiązku, wróć!

Ty, synu przedwiecznej krasy,
Co błyskasz gwiazdą zdaleka
Ludzkości po wszystkie czasy:
Niech świetny czar twój obleka
Powszednią prozę żywota
W mieniące szaty ze złota;
Do lepszej myśli i czynu,
Upadłe plemię budź —
Ty, piękna przedwieczny synu,
Wróć, ideale, wróć!

Ty, ziemi panie i słuگو,
Co, klnąc niebiosom zuchwale,
Idziesz w wędrówkę swą długą
Omackiem, w błędach i szale,
Odarty z wiary, miłości,
Niepewny jutra, przyszłości:
Dziś nowym natchnienia tokiem
Potargaj fałszów sieć,
Zadrgnij pod wiosny urokiem, —
Wzleć, duchu ludzki, wzleć!
Bronisław Grabowski.

CHWILA UBIEGŁA.

(Dokończenie).

Towarzyskość jest wrodzonym przymiotem człowieka, wymiana myśli jest mu potrzebą taką, jak wymiana uczucia, i gdy pod siłą ukochań serdecznych tworzy on sobie rodzinę, wszystkie te cele wyższe, przez które w dążnościach wspólnych łączy się z ludzkością, wszystkie te cele święte, przez które obywatel wiąże się z powszechnością swoją, nakazują mu szerszego koła ludzi poszukiwać. „Nie dobrze jest być człowiekowi samemu“, ma znaczenie szersze, niż to sobie tłumaczmy pospolicie, i „pomoc którą Bóg uczynił człowiekowi“, to drugie serce ludzkie, które tak jak my czuje, drugi umysł ludzki, który tak jak my chce dobra i prawdy szukać, światło garnąc: drugi duch, który obok naszego ducha kolumną stawia na podporę gmachu wspólnych nadziei i miłości wspólnych. Ludzie nie mogą też, nie powinni w domach, w rodzinach swoich dziko się

zasklepić; wzajemne ich ze sobą obcowanie kształci i poleruje, wspólność oddawanych sobie usług najlepsze przymioty człowieka z głębi jego wydobywa i rozwija, a wszystkie wady, z zacieśniającego się egoizmu powstające, ściera i ukróca.

Ramię do ramienia! to po wiek wieków hasło ludzkości przy wszystkich jej sprawach postępu i żadnej wielkiej idei nikt inaczej w życie nie wcielił, nigdy inaczej w czyn nie wprowadził. Wszystkie prace gromadne odbywają się lżej i weselej, i dość jest widzieć raz żniwo na łanie szerokim, aby się o tej prawdzie przekonać. Pot płynie z czoła, a śpiewy rozlegają się w powietrzu, bo jest jakaś moc magnetyczna, występująca ze wspólnych siłowań, która każdemu pojedynczemu pracownikowi trudu ujmując a siłę dodaje. Są też uczucia, które się nigdy w piersi samotnego człowieka nie zrodzą; jest wesołość, jakiej nigdy samotny nie doświadcza i ta to własność natury ludzkiej sprawia, że człowiek nie może nigdy bawić się sam.

A zabawić się od czasu do czasu jest konieczną duchowego naszego organizmu potrzebą. Jak czara wina pokrzepia to i podnieca; zabawa też szkodliwą bynajmniej nie jest, byle granic swoich nie przeszła, byle się w co innego nie przerodziła; nie była hulatką i orgią, szaleństwem, który zwierzę z nas wywołuje; polem dla wyścigów lichy próżności i zbytku wystawą, zapomnieniem obowiązków, lekkomyślnym pracą zapomnieniem.

Jak po pracy, tak po zabawie poznaje się człowieka i kto wie czy nie więcej po zabawie, bo pracę niezawsze on sobie wedle upodobań, skłonności swych duchowych wybierać może, i gdy okoliczności, stosunki życia grają tu nieraz rolę wielką, o zabawie swojej każdy pełnoletni człowiek sam już stanowi i bawi się jak chce, jak umie, wedle ideału swego uciechy i przyjemności. Narody dzikie bawią się grubo, hulaszco; narody lekkomyślne bawią się płochy, poświęcają zabawie więcej, niż się to z budżetem ich mienia zgadza, więcej, niż się to zgadza z ich obowiązkiem i sumieniem, z myślą rozsądną o jutrze. Takie narody dają o sobie świadectwo ubóstwa umysłowego, wraz z ubóstwem uczuciowym. Jak dzieci w przyszłość nie patrzą, jak dzieci nie zastanawiają się nad skutkami czynów swoich, rządzą nimi wrażliwość i wrażliwość, nie uczuciowi. Nie jest zdolnym kochać, kto o miłości swojej nie umie wiernie i stale pamiętać, kto ją nosi jak suknię zwierzęcą, ubiera się w nią i rozbiera z niej wedle upodobań chwili, i może ją raz po raz na haku zawiesić, jak tandetę starą, aby kiedyś znowu gwałtownie się do niej rzucić. Wytrwałość i równość uczucia, wieczna w sercu naszym przytomność ukochanego przedmiotu, to siłomierz miłości. Nikt nie może powiedzieć o człowieku, że kocha bliźnich, gdy się w obec ich nędzy z kipiącą wasołością i rozrzutnym zbytkiem zabawia, nikt nie powie o synu, że kocha matkę, gdy ją dla zabawy zmożoną cierpieniem odbiega i płsa, przytupując sobie śpiewa, kielichy wychyla, gdy na nią smiertelne poty biją.

Nie kocha jej, nie kocha nic i nikogo, bo nawet samego siebie i jest to lekkomyślnik, istota bez żadnej wagi uczucia i rozumu: pyłek, proch jakiś ludzki, który też przez lada powiem precz zwiaynym będzie.

Taką jest zabawa zła, ale jest i dobra, której żaden wyrok potępienia nie dotyka, bo życie nie szkodzi, ale pomaga, z siłą i bogactwem go nie odbiera, ale mu ich dodaje przez ukrzepienie, jakie ze sobą przynosi. Najgorszą zabawą złą jest to, że dobrą wypiera, jak to u nas dziać się zaczyna. Zbytek w przyjęciu gości, zespolenie zabawy z marnotrawstwem, ugrunтовanie jej na zadowoleniu próżności najniższego gatunku, bo opartej na wystawności, która jest pychą, chępiącą się z pieniędzy swoich: wszystko to sprawiło, że ludzie rozsądni, ale słabi, bo oglądający się na to, co inni robią, i wskutek tego plan życia swego zmieniający, zaczynają domy swoje dla przyjaznych zebranych zamykać. Zabawa swobodna, w wyrazie swym szczera, miła, dobra zabawa, co wiele, bardzo wiele znaczy dla ludzi delikatniejszych uczuć, odbywająca się w wybranym przez nich, więc doborowem, kole, zaczyna zniknąć,

przenosząc się do miejsc publicznych: balów re-sursowych, składkowych. Musi się tam niejedno przyjąć, na co szlachetniejsza duma, tkliwsze uczucie, smak wybredniejszy godzić się nie chce, musi się przez to niejedną dobrą drażliwość uczuć przytępić musi, wskutek przyzwyczajenia, nastąpić pewne smutne zgodzenie się na to, z czym źle się godzić, bo zgoda to do zubożenia uczuć prowadząca. Wobec warunków dzisiejszego zbytkowania zabawa taka niewątpliwie jest tańszą, ale czy też jest tem, co dawna? Zabawa ludzi zbliża, liczniejsza zabawa ludziom do zapoznawania się ze sobą pomaga, nieraz wśród zabawy młode serca goręcej uderzą; czy przecież zabawa publiczna może to wszystko dać w sposób pożądanym, na warunkach jakich pragnąć można? Co ludzie o sobie na zabawie publicznej wiedzieć mogą? Nazwiska, położenie towarzyskie i to, co nam powierzchowność ich przedstawia. Jeżeli też młodzież tylko na zabawach publicznych spotykać się ze sobą będzie, temi tylko względami zmuszą się rządzić ich sympatyje pierwsze, aby potem, jako się dzieje we Francji, do domu, który jest dla przyjacielskiego z ludźmi obcowania zamknięty, swatka konkurenta wprowadzała, i dwoje ludzi, znających się tylko po wierzchu swojej istoty, złączonych zostanie, na takie też, jak we Francji małżeństwo. Że przecież podobne zbliżenie się dwóch nieznających się istot bardzo mało objaśnia czem są ich dusze, ich serca, że takie staranie urzędowe, prawie tylko formę ratuje: zaczynają to ludzie sobie upraszczać i kawalerowie, którzy decydują się na małżeństwo, szukają żon przez ogłoszenia w dziennikach, przez kantory małżeństw. Jest to konieczne i logiczne następstwo zamknięcia życia towarzyskiego.

Cały świat uczuć i myśli różnych ginie tu wtedy — ginie cały świat tych stosunków, które się wśród towarzyskiego życia między duszami ludzkimi łagodnie zawiązywały, wśród których umysły męskie oddziaływały na umysłowość kobiecy, gdy mężczyzna ulegał ciepłu uczuć kobiecego serca, uczuł się rozumieć i poznawać kobiecość dobrą i czystą, uczuł się ją szanować, a ona, niezapchnięta do niższego chóru życia, niepozostawiona samotnie u zamkniętego domowego ogniska, nie zacieśniała się myślą i uczuciem nie zamykała sobie świata w czterech domu ścianach i czuła się nie tylko członkiem rodziny, ale i społeczeństwa, narodu, brała w serce szerszych, wyższych miłości ukochania, których skarb, oddawała krajowi przez wykarmionego jej piersią, wychowanego u jej serca syna, aby on z kolei znalazł tych uczuć oddźwięk i zrozumienie w małżonce swojej, równej mu duchem, ducha tego polotem szlachetnym. Obowiązki rodzinne muszą ucziwają kobietę w domu zatrzymywać, a gdy ten dom towarzyskiemu życiu drzwi swoje zamknie, gdy wtedy mężczyzna, nie znajdując w nim tego, co jest dla myślącej istoty ludzkiej potrzebą życia konieczną: jakiejś wymiany myśli, jakiejś karmi dla umysłu, zacznie z niego uciekać i życia wszystkie chwile wolne przepędzać w klubach, w resursach, kobieta musi się stać zadowolona i niższą od niego, aż zejdzie powoli na nadzorczyńnię jego kuchni i pralni, jeżeli nie uczepi się jak zbawienia kokieterii i nie będzie przez nią mścić się na nim, który potrafi już wtedy tak tylko kochać, jak określają słowa poety „Poko-chwały się w niej moje oczy.“

Pewnym objawem dobrej reakcji w tym złym kierunku zdawały się być w mieście naszym tak zwane *wieczorki waltowe*, które się pojawiły w roku zeszłym, ale sam jedwab sukni kobiecej jeszcze ani o zbytku, ani o oszczędności nie stanowi. Trzeba całą skalę życia i jego układu zmienić: mieszkania, sprzęty, przyjęcia. Trzeba pamiętać że *czasy są ciężkie* w całym dosłownym tego słowa znaczeniu, bo życie rzeczywiście ludzi gniecie i ku ziemi pochyla. Zawsze to lepiej, nie gorzej, że już powstała jakaś myśl, potrzebę oszczędności uwadze ludzkiej polecająca, ale przesłiznęła się śnać po wierzchu, zbyła rzecz formą mało znaczną i do głębi złego się nie dobrało. Zwiększona w tym roku ilość balów publicznych do-wiodła tego: tańczono na nich wesoło i licznie, bawiono się ochoczo,

To jest nasza *chwila ubiegła*, która nam swoje obrachunki zostawia.

Marya Ilnicka.

GENERAL GORDON

(Korrespondencja jego z siostrą).

(Dalszy ciąg).

Listy Gordona pisywane z pod Sewastopola do domu, już wykazują cały jego nastrój duchowy i charakter, mający się rozwinąć w przyszłości. Osobiście cieszy się ze sławy, z awansu otrzymanego, z krwi przelanej, ponieważ stało się to w „dobrej sprawie“, a wobec żyć ludzkich, nagle przerwanych, niepokoi go głównie to: co będzie z duchami, które uszły w zaświat tajemniczy? Lord Raglan umarł ze znużenia i wyczerpania sił; wszyscy w obozie angielskim żałują go dla znanej ogólnie dobroci, którą i młodzieniec mu przyznaje: przyznaje mu również, że cały żywot był oddany na usługi ojczyzny i spodziewa się też, że umarł przygotowany. — „Ale nie jestem tego pewny“, zakończy niespokojnie; dalej zaś donosząc o śmierci kapitana Craigie, który zginął przypadkowo od granatu, pisze: — „Jestem szczęśliwy, mogąc wyrazić, że był to człowiek poważny“.

Mężtwo jego wpływało też w znacznej części z tego nastroju ducha: on był *poważny*, on był *przygotowany* i dlatego mógł ginąć. Ale śmierć go oszczędziła; po wzięciu Sewastopola, zostaje użyty w Bessarabii do uregulowania nowej granicy pomiędzy Rosją, Turcją i Rumunią, następnie przenoszony go dla prac podobnych do Armenii i wraca do Anglii dopiero w 1858 r. już jako kapitan inżynierii w dwudziestym piątym roku życia. Był to początek świetnej kariery; ojciec chce go zostawić przy sobie, jako adjutanta, ale w 1860 r. wybuchła wojna chińska i on należy do korpusu ekspedycyjnego, znajduje się przy wzięciu Pekinu, zostaje majorem, mając lat dwadzieścia siedem, i wchodzi do stolicy Chin z połączoną armią francuzko-angielską, jest przy sławnym rabunku rezydencji cesarskiej, ale ręce jego nie plamią się łupieżstwem, które pohańbiło tylu officerów tak francuzkiego jak angielskiego wojska. Z bogactw, po których deptał, nie uniósł nawet jednego drogiego kamyka, nie wziął nic, choćby to była drobnostka na pamiątkę zachowana, i zaczął już teraz używać sławy wyższej, której przecież nie pozazdrościł mu nikt z kolegów, nawet starszych. Szczupły, wysmukły, przytem biały i rumiany jak dziewczyna, zdobył sobie zarazem i silną miłość żołnierzy, choć mimo całej łagodności, był surowym, gdy chodziło o obowiązki służby i pilnował „godności angielskiego żołnierza“ w moralnych jego obyczajach.

Pragnienie jakiejś działalności awanturniczej, zdobywanie rzeczy nieznanych, dalekich, już się zaczęło w nim budzić teraz. Choć stolica Synów Słońca otworzyła się pod siłą bagnetów i dział europejskich, niemniej Chiny były dotąd dla Europejczyka krajem nieznanym, tajemniczym i ciekawym: i oto major Gordon, dobrawszy podobnego sobie towarzysza, kapitana Cardew, puszcza się konno na wyprawę do sławnego Muru Chińskiego, dociera doń i puszczając się wzdłuż niego od Kalganu do Taitongu, przebywa samowtór okolice, w których nie posłała dotąd stopa cndzoziemca, wystawia się na tysiące groźnych niebezpieczeństw, tysiące zasadzek, z których wydobywa się zawsze śmiało i szczęśliwie, aż w końcu, obrany ze wszystkiego co posiadał, ogorzały, wychudły, ale cały i nawet nie draśnięty, wraca do obozu angielskiego w Tientsinie.

W 1861 został przeznaczonym do sztabu naczelnego wodza sił angielskich w Chinach, sir Karola Stawley, i przy jego boku udał się do Szangaju. Pokój z Chinami był już podpisany, ale wróg inny: powstanie Tai-Pingów, zuchwałych i wojowniczych ducha malkontentów, podkopywało podstawy państwa. Nankin, drugie po Pe-

kinie miasto: zostało wziętem i silnie przez powstańców obwarowanem, trwoga padła na sfery rządzące, handel europejski w otwartej dla niego prowincji Szangaju został zagrożony: i oto Gordon wchodzi w służbę Rządu Chińskiego, obejmując z jego ramienia dowództwo na korpusie ochotniczym, zrekrutowanym z różnych europejskich i amerykańskich najemników, a którego dawni dowódcy, dwaj Amerykanie, bracia Ward, nie przedstawiali rękami, na którychby polegać mógł rząd Cesarstwa Chińskiego i gilda europejskich kupców Szangaju. Wojsko to było raczej bandą niesformą, złożoną po połowie z rabusiów, po połowie z włóczęgów wszystkich części świata, ale pod ręką Gordona zmienia się to nagle. Z nienawiści do złego wydobywał mu się z piersi namiętny zapal do ścigania go, ukrócenia i surowa karność, silną ręką dzierżona władza nowego wodza przeistacza z dnia na dzień korpus zaciężników w porządne, mocno w kluby karności ujęte wojsko, na którego czele Gordon stacza w przeciągu czterech miesięcy trzydziści trzy bitwy i potyczki, w których zawsze zwycięża. Wojsko jego otrzymuje teraz nazwę „Armia zawsze zwycięzca“, i gdy w koleji czasu waleczna jego działalność znajduje dwóch historyków¹⁾, tymczasem sława jego rozlega się szeroko, śmiałość zadziwia tak Chiny jak Europę. Dowodził i szedł do ataku z laseczką w ręku, której używał dla wydawania rozkazów, jak dyrektor orkiestry batuty swojej, i tylko pistolety za pasem służyły mu, aby wypalić z nich do tego, któryby zagrażał mu drogę. Lud zabobonny począł uważać jego łaskę za pałeczkę czarnoksiężką, odwaga żołnierzy rosła wraz z tą wiarą; nabyto przekonania, że nie mają go się ani strzale, ani razy białej broni; aż ciężka rana, otrzymana w nogę przy niepomysłnym szturmie do warowni utwierdzonej przez powstańców miasta, Kientang, rozproszyła ten urok, wraz z którym niesłychane szczęście Gordona zmieniło się też nagle. Doznaje kilku porażek; w namiętym i na przebój chcącym iść uporze, szafuje może zanadto krwią swych podkomendnych, ale już nie dopina swych zamiarów i, darmo kusząc się o zdobycie Nankinu musi, odparty z wielką stratą, odstąpić tego zaszczytu regularnemu wojsku chińskiemu, które nawet zasłoniło jego odwrót i obroniło go od rozbicia.

Ale, jeżeli w osobie Gordona zniknął charakter, za to tłumy chińskie ujrzały coś wyższego i godniejszego widzenia: ujrzały przy szturmie na Kientang rycerza—rycerza i wodza w wysokiem i szlachetnem tego słowa znaczeniu. W razie wielkiej przegranej, w razie nieszczęśliwej rozsypki i popłochu, Chińczycy tłumnie odbierają sobie życie. Znieść cierpienie, uważać życie jako obowiązek, postawić naprzeciw złym losom i zmianie szczęścia wytrwałe mężstwo—jest nieznaną u nich cnotą. Jak wszystkie narody mongolskie, Chińczycy są mało zdolni, a raczej prawie wcale niezdolni, do pojęć oderwanych, ideał podniesiony nad ziemię, nad używanie materyalne, jest dla nich mglistym i nieujętem, dlatego też samobójstwo wrazie niepowodzenia, nadziei zawiedzionej, bywa u nich niezmiernie częstem. Po jednej z wielkich bitew, stoczonych w pochodzie na Pekin przez połączone wojska francuskiej i angielskiej armii, rozbici Chińczycy, dopadłszy w ucieczce przestraszeni, zaczęli się wieszać na drzewach tysiącami. Strach, smutek z przegranej, wstręt do życia w nieszczęściu, popychały do tego nędzne tłumy, które ogarnęła zaraza samobójstwa, i na drugi dzień rano wojska europejskie ujrzały w dal szym pochodzie przerażające widowisko: kilka tysięcy wisielców, zawieszonych na gałęziach drzew. Zaczęło się to od dowódców: złamana karyera, zawiedzione widoki przyszłości, popychały ich, a reszta czerni uległa zawrotnemu szalowi: trwając przed pogonią, przed wysiłkiem nowych walk, Gordon ukazał im inny wzór powinności żołnierza: ranny i niezdolny do innego położenia, jak nawznak, kazał się tak umieścić na noszach i wydawał rozkazy, kommanderował wojskiem aż

do ostatniej chwili możliwej nadziei, że zdoła uchwycić na nowo wymykające mu się szczęście.

Surowe pojęcie obowiązku, osobiste podejmowanie takich samych, jak żołnierze trudów, życie najwyższej skromności było też wielkim przykładem, stawianym przed oczy mandarynów i całej chciwej, przedajnej, nieprawem zyskami tłuczącej się zgrai urzędniczej Chińczyków. Zarzucano Gordonowi, że on z przewodnią gwiazdą ideału przed oczyma, rycerz „dobrej sprawy“ podjął się rozbicia biednych powstańców, których zdzierstwa urzędników, i ciężar rządowej maszyny chińskiej, przywiódł do rozpacz. Ale Tai-Pingi postępowali okrutnie, mordowali i palili całe okolice, oporne im, rabowali, a szczególnie palili dziką nienawiścią dla wszystkiego, co było obcem. Natura Gordona była namiętą; wielkie uczucie żalu nad ofiarami tej domowej wojny rozpało go, i przyjął dowództwo na żądanie, a nawet pod naleganiem lorda Staweley, a raz podjąwszy zadanie, już je pełnił, jak wszystko, z przejęciem gorącym, z zapalem i energią, która mu była wrodzoną i stanowiła jakoby jeden z żywiołów jego ducha. Przecież mógł napisać do domu: „Wracam z Chin tak biedny, jak tam przybyłem.“

Nie przyjął znacznego daru pieniężnego ze strony rządu Chińskiego: cesarzowa ofiarowała mu 10,000 funtów sterlingów, a on to rozdał między zaciężne swe pułki i jako korzyść materyalną wyniósł z Chin, prócz tytułu mandaryna i generalissimusa wojsk chińskich: Ti-Fu, „żółty jedwabny szarafan do konnej jazdy, pawie pióro do żółtej czapki i cztery kompletne mundury Ti-Fu.“ co zostało mu przyznane przez cesarski dekret. Cesarzowa dodała do tego dwa wachlarze honorowe, takie, jakich używać mają prawo jedynie przyboczni jej urzędnicy pokojowi.

Takie to skarby Gordon Chiński przywiózł ze sobą do ojczyzny i wrócił cicho do armii angielskiej w stopniu pułkownika inżynierii. Odkomenderowany do Gravesend dla fortyfikowania Tamizy, zabrał się pracować do dzieła, a w chwilach wolnych uczył ubogie dzieci czytać i katechizmu, zbierał słabe i leczył je. Było to w 1864, miał zatem lat trzydzieści jeden, i Forbes pisze, że „dom jego wyglądał raczej na pomieszknię misjonarza, niż wojskowego, bo była w nim szkoła i infirmarya.“

Przepędził tak lat sześć. Po wrzawie wojennej, po przebywaniu niezmiernych przestrzeni, uciśniony w sobie łagodnie, odmawiał z dziećmi pacierz i sadzał je na kolanach, gdy były za małe, aby dostać do stołu, na którym rozkładał elementarz z obrazkami. „Dziecię jest to anioł, bo ma jeszcze czystość anielską“ pisał do siostry.

Raz zdarzyło się, że chłopiec dziewięcioletni, który przyszedł do ojca robotnika, pracującego przy biciu tamy fortyfikacyjnej, chciał się wykapać w Tamizie i porwany przez wir wodny, począł tonąć. Podniesiono wielki krzyk, ale Gordon w moment rzucił się w wodę, zerwawszy tylko z siebie wierzchnią odzież i obuwie. Uratował już wpół żywego chłopaka i, położywszy na piasku począł go wycierać własnym surdudem mundurowym, który pozostał na brzegu, i całował wyratowanego w usta.

„Po dzieciach najpiękniejszym tworem Bożym na ziemi, są gołębie“ pisał z Gravesend do siostry. „Lubię patrzeć na nie, gdy wzbijają się w górę ulatując po na rzekę, a blask słońca złoci je zwysoka. Zdaje się, że są to duchy dobrych ludzi, które wznoszą się do nieba.“ W 1871 rząd wysłał go do Galaczu, jako reprezentanta Anglii przy kommissji regulującej żeglugę na Dunaju. W Konstantynopolu poznał Nubara Baszę, a że to była chwila, w której Backer opuszczał Sudan, zamówiono Gordona do zajęcia jego miejsca. Powiedziano mu, że chodzi o zniesienie handlu niewolnikami, o podniesienie dobrobytu nieszczęśliwej ludności, o ulgę w jej losie ciężkim: zaświecono mu w oczy celem wielkim, celem szlachetnym i entuzjasta uczuł nagle wzruszający się w nim zapal. W filantropie, który sadzał na kolanach swych sieroty, obudził się wojownik. Teraz to była już wyraźnie „dobra sprawa“ i marzytelni uwierzył w posłannictwo swoje, w głos Boga,

który go tam przyzywa. Znał on wszystkie trudności swego zadania, a nawet więcej: wiedział ile to małosznych, nędznych, ziemskich interessów będzie łączyć się, krzyżować wkół jego misyi; zapalenie namiętny, człowiek jakgdyby nie z tego wieku, miał jednak dziwną, jak na niego trzeźwość sądu, w rzeczach ludzkich, widział jasno, ale z drugiej strony mieścił się w jego piersi wierzący i wyczekujący skinienia Bożego poeta. Jak prorocy Izraelscy: jak Elias, jak Izayas, czuł się jakoby narzędziem woli boskiej, i gdy w 1874 r., obejmował władzę nad Sudanem, ten nastrój myśli jego wyraźnie się odzywał w listach do siostry. „Pan skinął nań i on szedł za Jego wolą.“ Dla Gordona było to dość; lecz mistyk łączył się w nim z głęboko dobrym, kłiwym człowiekiem i wzruszającym jest stan jego ducha w chwili wyruszenia na stanowisko swoje. W drodze z Anglii do Kairu już wczytywał się w Koran; chciał zgłębić księgę świętą znacznej części tego ludu, którym miał rządzić. Gorącość wiary, którą tam spotkał, głęboka mądrość wielu zdań Korana, wreszcie rozlana tam poezja Wschodu, oddziały na niego, dodając swoją przymieszkę, którą potęgowała fantastyczność i naturalna skłonność Gordona do falalizmu.

(Dokończenie nastąpi).

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Baron, który jej zostawił zupełną swobodę, będąc pewien, iż jej nie nadużyje, sam nie uczynił żadnego wyboru, nie okazał nikomu, iż by go sobie życzył, ani Justki nie chciał żadną pokierować skazówką.

Jednakże miał od roku już w sercu życzenie, z którym się tał.

Rok upływał właśnie gdy jeden ze starych partnerów wista barona, przyprowadził raz z sobą i zaprezentował mu, bardzo przyzwoitego, około lat trzydziestu mogącego mieć człowieka, barona także, Inflanczyka, czy Kurlandczyka, którego nazwisko, von Brock, uderzyło starego.

Prababka barona była z tego domu. Przybyły gość wiedział o tem dobrze i z tego powodu nawet życzył sobie przedstawić się dalekiemu powinowatemu.

Baron, pozbawiony rodziny, przyjął go z wielkiem uczuciem, z jakąś rzewnością, jakby w nim znalazł drogą gałązkę szczepu swojego.

Brock, ani brzydki, ani piękny, ani młody, ani stary, bo fizioznomią miał, na której wiele się nie wyraża, wychowany starannie, należał do jednej z tych rodzin niemieckich, osadników odwiecznych, która w tradycjach swych miała służbę publiczną. Ojciec, dziad, pradziad, zajmowali wysokie posady; jemu też zaledwie dano ukończyć liceum i ubrano go natychmiast w vice-mundur, sadzając za stół do papierów—czyniącego kółkiem w tej ogromnej maszynie, która każdemu państwu jest niezbędną, ale wytwarza całe zastępy ludzi, co już na nic się nie zdali, chyba tylko do tych funkcji, pochłaniających wszystkie ich władze.

Brock miał przyzwoite maniery w salonie, nie mu zarzucić nie było można; lecz myśli jego obracały się w ciasnej sferze, poza którą skrzydła im opadały.

Z Brockiem można było począć rozmowę o czemkolwiek; zawsze się ona kończyła jakąś historią, albo osobliwego procesu albo szczególnie

1) Archibald Forbes, Dr. Andrew Wilson.

go przebiegu sprawy, postępowania urzędu, rozstrzygnięcia władz i t. p.

W Warszawie przebywał baron ze szczególnym poleceniem, a że missya nie była pilną, a on tu pobyt znajdował przyjemnym, nie spieszył na powrót do swego w ministerium stanowiska.

Z tą karierą urzędnika łączył, naturalnie, baron obyczaję do trybu życia tego przywiązane; spokojnego temperamentu, rozrywek nie szukał innych nad umiarkowaną grę w karty. Stół wykwintny i kilka godzin salonowej rozmowy.

Literatura, sztuka i t. p. przedmioty obchodziły go tylko tyle, ile z nich lepsze towarzystwo zapożycza dla osolenia swej egzystencji; zresztą były one dla niego zupełnie obojętne.

Młody jeszcze, bo nie miał lat trzydziestu, Brock już nałogi pewne poprzemawiał i kolej sobie utarłszy, nie myślał z niej zbaczać. Było mu dosyć tego życia i więcej nie pragnął od niego.

Nie będąc bogatym, bo rodzice mu zadłużony zostawili majątek, baron nie miał z czem zbyt burzliwej młodości pędzić. Stosunki jego z pięć piękną ograniczały się do łatwych w jego sferach, a płochych związków z średnich lat paniami, które zarazem podejmowały się wychowania i opieki nad młodymi urzędnikami.

Przeszedłszy przez ręczki takich trzech instytucji, z ich pomocą uzyskawszy stanowisko, które już o swej sile dalej kroczyć dozwalało, baron Brock dotąd nie myślał o małżeństwie, i nie miał wielkiej do niego skłonności. Dopiero spotkanie z Raunem, bogatym, mającym jedną przybraną wnuczkę, a okazującym mu wielką czułość, myśl pewną nasunęło.

Okoliczności, sposobność była wyjątkową.

Stary baron niezmiernie sobie upodobał Brocka, nie umiając powiedzieć dlaczego. Nie ulegało wątpliwości, że bardzoby był pragnął wydać za niego wnuczkę, ale nie dał tego poznać po sobie. Za nic w świecie gwałtu-by jej zadać nie chciał.

Sprzyjał jednak zbliżeniu się Brocka do swej wychowawcy, badał ją o niego i nie mógł się wydziwić, że ona się na nim nie poznała. Wistocie tak było: Justka nie umiała go ocenić, a co gorzej, obudzał w niej rodzaj jakiegoś wstępu i obawy, której w sobie zamknąć nie była zdolną.

Dosyć było ukazania się tego sztywnego vice-munduru, aby jej odjąć humor oniesmielić ją, oniesmielić. Baron znajdował ją piękną, miłą, ale, zalecać się jej nie myślał. Parę razy spróbował z nią dłuższej rozmowy, znajdował niepodobiestwem porozumienie się. Myśli ich, zajęcia, wspomnienia nie miały z sobą nic wspólnego.

Po wielu próbach, gdy mu się niczem Justki zająć nie udawało, baron wpadł na myśl szczególną opisywania jej, jak były urządzone salony w eleganckich domach stolicy, z której przybywał. Temat ten niewyczerpany starczył mu do zabawiania jej, a słuchająca mogła przynajmniej wtrącić coś dowodzącego, że przedmiot ten ją zajmował.

Na wszystkie obiady i wieczory baron Brock był proszony, dawano mu miejsce obok Justki, stał się niemal domownikiem—lecz do poufałości z panną nie przyszło.

Dla przypodobania się jej tańcował nawet kadryla z wielką gracyą, ale i tem sobie łask pozyskać nie mógł.

Stary Raun, postrzegłszy, że się tu jakoś stosunek nie wiąże, nie nalegał; zdawało mu się, że panna sama czasem się pozna na człowieku którego on cenił bardzo wysoko.

Do swych wistowych przyjaciół stary mawiał czasami:

— A może być ministrem!

Nikt temu nie myślał zaprzeczać, lecz teka ministerjalna w oczach panny Justyny nie dodawała mu uroku.

Dziewczę, łatwo odgadłszy życzenia dziadka, dręczyło się tem, że im zadość uczynić nie mogło. Sama myśl poślubienia tego vice-munduru przemawiała ją grozą.

Zygmunt, gdy chciał dokuczyć pannie Justynie, napomynał jej żartobliwie o tem, że dziad zmusi ją może do oddania ręki baronowi.

— Naówczas—odzywała się Justka—wiesz pan,

cobym zrobiła? Zapakowałabym w węzełek moich parę koszul i uciekłabym gdzieś w świat.

— W takim razie, namiętność Boga, niech panie mnie raczy pozwolić, abym jej towarzyszył—mówił Zygmunt—mój węzełek nie jest pewnie większy od tego, jaki pan zabierze: ruszmy, przynajmniej wzajem sobie dodając otuchy!

I kończyło się to śmiechem, bo ktoż ze strony dziadunia mógł przypuścić przymus?

Baron Brock ciągle bawił tu jeszcze, a że Raun stary okazywał mu wielką sympatyą i bawił się jego towarzystwem, widywali się prawie codziennie.

Rozmowa często zwracała się ku przeszłości, ku rodzinie, i Brock z zajęciem wielkiem przejrzał wszystkie rodzinne papiery barona, a że własną genealogią w heroldyi bardzo starannie opracował i znał jej wszystkie rozgałęzienia, cieszył się tem, iż z rodziną Raunów nie jedno, ale wielorakie mógł wykazać związki i poufnie przyjaciółom szeptał, iż właściwie po bezdzielnym baronie spadek jemu, nie komu innemu, się należał.

Mówiąc to, uśmiechał się figlarnie i dwuznacznie.

— Wiem o tem—dodawał poufnie, iż stary rozporządził całym majątkiem, zapisując go przybranej wnuczce—lecz...

Znaczące milczenie zamykało usta słuchaczom barona.

— Gdyby panna chciała mnie za męża—mówił niekiedy—wszystkoby się najśliczniej ułożyć mogło, ale panienska woli młodszych, a ja jakoś zając jej nie umiem, no, i nie wiem, czy w życiu mybyśmy z sobą zgodzić się potrafili.

Dosyć często dowiadując się coraz szczegółów nowych o świetnym stanie majątkowym barona, Brock powtarzał, że pańska ta fortuna w obcej ręce przejść-by nie powinna. Staremu jednak przyjacielowi nigdy nie dał poznać tej myśli swej, nie chcąc go martwić i ku sobie zniechęcać.

Starannie dowiadywał się zboku, czy istotnie testament i rozporządzenie majątkiem było dokonane i formalne. Zdawało się go to wielce obchodzić, a jakby dla uspienia czujności Justki względem niej znajdował się Brock z nadskakującą grzecznością. Przynosił bukiety, które ona do garderoby wyrzucała, bawił ją osobą swą i rozmową, niekiedy nawet zbyt długo opisywał cuda salonów. Malachitową paterę musiała już przyjąć wostatku.

Wszystko to serce barona jednało mu coraz bardziej.

Tymczasem wśród otoczenia swego, napozór szczęśliwa, ale z jakąś troską w sercu niewypowiedzianą, Justka obracała się w kółku przyjaciół, uśmiechając się, starając rozerwać, nie mogąc obronić się trwódeż przeczuć jakichś bolesnych.

Panna Jolanta i pocziwa Marta zarówno starały się ją rozerwać i zmusić do używania szczęścia, jakie się jej tak widocznie uśmiechało. Brakło może tego przywiązania silniejszego do kogoś wybranego, któreby życiu cel upragniony wytknęło.

Justka lubiła bardzo Zygmunta, ceniła Dobka, czasem nawet interessowała ją Leon, w którym rodziła się gwałtowna namiętność; żaden z nich jednak całkiem jej serca nie opanował. Zygmunt był najbliższym, bo w nim widziała wyższość umysłową i energią charakteru niepospolitą.

Jednego wieczora, ostatnich dni kończącej się zimy, stary baron, smutniejszy niż zwykle, zdrzemnął się przy kartach, a potem, wcześniej niż innych dni zapragnął pójść na spoczynek. Ociegały był i milczący, pocałował w czoło Justkę; ułożono go do snu, napoiwszy ziółkami.

Noc przeszła spokojnie, lecz gdy nazajutrz stary kamerdyner o zwykłej godzinie przyszedł uchylić firanki i zapytał: czy miał podać do łóżka kakao—urzął ze zdumieniem, że stary, co się nigdy nie trafiało, nie przebudził się, gdy wchodził. Z głową zwisłą leżał uspiiony, blady, a otwarte usta wydały się kamerdynerowi dziwnie zsiniałymi. Jedną ręką zwisła leżała na okryciu, dotknął ją ostrożnie i przeraził się jej chłodem.

Teraz dopiero dostrzegł, że czoło było żółto-

białe i zbliżywszy się krzyknął, poznał bowiem że stary—nie żył. Śmierć przyszła nocą po ciemności, aby zakończyć ten żywot, już oddawna ciężki jemu, a ludziom nieużyteczny.

Posłano po doktora, niedając znać reszcie domowników, bo się spodziewano, że może ratować będzie można jeszcze; lecz wezwany lekarz oświadczył, że zgon już przed kilku godzinami nastąpił i nic już przedsiębrać nie można.

Marta i Jolanta, obawiając się o Justkę, użyły wszelkich środków, aby jej pierwszego przeobrażenia oszczędzić i przynieść ulgę w smutku. Znalazły ją na podziw istotą stałego umysłu zrezygnowaną i nienęknioną.

Poszła klęknąć i modlić się, a płakać przy ciele; wdzięk żałobę, a że testament wyznaczył jej opiekunów, oczekiwała, co oni dla niej postanowią.

Śmierć w szeregach pretendentów uczyniła ogromne wrażenie.

Niektórzy z nich przybiegli z ofiarą usług i kondolencyami, inni czekali, aby się położenie wyjaśniło.

Wiedzano, że testament prawnie uczyniony istniał.

Tymczasem exekutorowie testamentu i domownicy zajęli się wspaniałym zwłok pogrzebem. Za karawanem postępowała Justka w grubej żałobie, lecz baron Brock wyrachował się tak, aby w pełnym mundurze, krepą pookrywanym, znaleźć się w pierwszym rzędzie u jej boku.

Tłumy niezmiernie ciekawego ludu, towarzyszyły obrzędowi z nadzwyczajną okazałością dokonanemu. Nazajutrz zapowiedziano otwarcie uroczyste woli ostatniej zmarłego, która zresztą wykonawcom testamentu znana była.

Przez cały ten czas, otoczona najczulszem staraniem Marty i panny Jolanty, Justka w głębokim pogrążona smutku, milcząca, oniesmielona; oprócz nich nie widziała i nie przyjmowała prawie nikogo. Liczne tylko bilety, któremi ją zasypywano, rozpatrywała roztargniona, albo się modliła.

Baron Brock zdawał się mocno śmiercią przyjaciela i powinowatego dotkniętym. On także wyrzucił codziennie po kilka biletów u drzwi panny Justyny, a oprócz tego zapoznał się z wykonawcami testamentu, oświadczał im, że jako daleki kerewny zmarłego, czuje się w obowiązku poznać z jego interessami.

W dniu oznaczonym do otwarcia Justka przez pannę Jolantę kazała głównemu opiekunowi oznajmić, że przy czytaniu ostatniej woli przytomną być nie może.

Zebrali się wszyscy powołani.

Jak się domyślano, nieboszczyk prawie całą fortunę przekazywał przybranej wnuczce, z wyjątkiem legatów dla sług starych. Kodycyl nie dawny sumę dwóch kroć sty tysięcy złotych, jako przyjacielską pamiątkę, przeznaczał baronowi Brockowi.

Przytomny czytaniu temu, baron dziwnie się uśmiechnął i milczał aż do ukończenia odczytu.

Powstał dopiero naówczas z powagą wielką, dobył z bocznej kieszeni papier jakiś i wręczył go czytającemu.

Była to protestacya przeciwko rozporządzeniu barona, zapowiadająca akcyą sądową i upomnienie się o prawa spadkobierców naturalnych, których reprezentował Brock.

Zdumienie było ogromne, gdyż nic nie dozwalało przypuszczać podobnej zapowiedzi. Położenie protestującego, jego wpływy, znaczenie, umiejętność w prowadzeniu interessów, dla opiekunów krok ten groźnym czyniły.

Zmieszalo to wszystkich, a baron, nie wdając się z nikim w rozprawy, natychmiast opuścił salę.

Postanowiono zamilczeć o tym wypadku przed panną Justyną, aby jej nie trwożyć, mając nadzieję, że wpływy pewne i perswazye skłonią Brocka do układów mniej dla Justki groźnych.

Wiść, która się po mieście rozeszła, wprawiła wszystkich w zdumienie; lecz utrzymywano powszechnie, że groźba ta była środkiem użytym tylko do skłonienia Justki, aby ręką swą oddała baronowi.

Nie wiedząc o niczem więcej jeno o tem, że stary dziadunia cały majątek jej zapisał, spędziła sie-

rota dni kilka i przypadek tylko zdradził zachowywaną przed nią tajemnicę.

Prawie gwałtem wdarł się, pomimo Marty, Zygmuś, w progu już występując z gorącą kondolencją i oburzeniem, spostrzegł dopiero zdradziwszy się, że Justka o niczem nie wiedziała.

W pierwszej chwili stała osłupiała, lecz wkrótce na bladą twarzyczkę jej wystąpił rumieniec.

Poczęła od łagodnego wyrzutu przytomnej pannie Jolancie, że przed nią, jak przed dzieckiem, ukrywano to, o czem ona wiedzieć była powinna.

— Miałam zawsze przecucie czegoś podobnego — dodała — i nic mnie krok ten ze strony barona nie dziwi, ale ja im wcześniej pomyśleć o sobie, tem lepiej.

— Pani się o siebie tak bardzo troszczyć nie potrzebujesz — przerwał Zygmunt — stronę jej biorą wszyscy, a opiekunowie zaręczają, że na pastnik sprawę przegra i wstydzić się tylko będzie swojej chciwości.

— A pan sądzisz — zawołała Justka — że ja processu dopuszczę? Ja, biedna, obca sierota, com tyle, wszystko winna nieboszczykowi? Jakimże prawem jego, choć oddalonej, rodzinie miała bym wydierać, co jej należy? Nie, ja nie chcę nic; pójdę pracować na życie i odzyskam spokój którego nie miałam, bom nie na swoim miejscu z łaski starego dziadunia młodość spędziła.

Zygmunt i panna Jolanta starali się ją przekonać, że małoletnia nie może nie stanowić, a opiekunowie działać będą za nią, choćby wbrew jej woli.

— A ja to wiem — dodała Justka, że majątku nie tknę. Przyjęłabym go była jako dar starego mojego dobroczyńcy, ale gdy spór ma wynikać — mnie się dobijać o to nie godzi. Nie! nie!

Justka chciała zaraz dom opuścić, miejsca szukać, wyrzec się nawet co jej za życia darowanem było i własność stanowiło niezaprzeczoną. Lecz Jolanta, przyjaciele, Marta naostatku potrafili wreszcie przekonać, iż pozostać powinna i że należało czekać dalszego rozwinięcia processu i napaszc — bo zdawało się, że sam Brock, postrzegłszy oburzenie powszechne, cofnąć się zechce.

Marta, Jolanta, przywołany opiekun główny, stary Radzca Dzierżycki, — potrafili ją naostatek pohamować w pierwszym zapędzie, ale nie złamali przekonania.

Justyna daleko mniej się okazywała przybitą niż się lekano. Marta ją przekonała i wmówiła w nią, że coby tylko za życia jej darował baron, to powinna była zatrzymać bez skrupułu, bo pamięci-by jego uchybiła, zrzekając się tych darów.

Już samo to, dla uboższego dziewczęcia stanowiło zasób niemały. Oprócz wytwornych sprzętów, klejnotów, ubrań, biblioteki, miał zwyczaj dziadek na S. Justynę obdarzać ją kilku tysiącami rubli na szpilki. Justyna ich część rozdawała uboższym dziewczętom, a z porady Jolanty umieszcza resztę w listach zastawnych — na nieprzewidziane potrzeby. Summa tych pozostałości, po obliczeniu jej, stanowiła kilkanaście tysięcy rubli. Było to daleko więcej niż ona potrzebowała do życia, nimby sobie jakieś gniazdo usłała.

O tę jednak sumę spór trwał jeszcze, gdyż Justka jej sobie przynajmniej nie chciała, czyniąc rozróżnienie między darami do życia powszedniego służącymi a pieniędzmi.

Przez cały ten dzień ona i Jolanta rozprawiały o tem, co się stało. Powoli lice dziewczynki się rozjaśniało i stosunkowo: nie tylko spokojniejszą, ale niemal w końcu okazywała się wesolą.

— Kochana moja opiekunko — mówiła, ściskając p. Jolantę, która z wielką powagą swą matczyńską odgrywała rolę — baron Brock jest moim dobroczyńcą, wrócił mi spokój, pomógł mi do powrócenia na właściwe stanowisko. Naostatek do wiem się teraz z tych moich dworaków, którzy mnie tak natarczywie uwielbiali: ilu było spekulantów, a ilu przyjaciół?

Na pana Zygmunta rachowałam zawsze, oprócz niego wiem, że professor Dobek jest moim wier-nym druhem — reszta....

Jestem wolną, kochana pani — jestem wolną! a to ma swoją cenę. Obłok kłamstw się rozproszy, ujrzę prawdę! co za szczęście!

Co przewidywała Justka, to się wistocie sprawdziło. Wiadomość o processie który wytaczał Brock, znany ze swych stosunków, ostudziła większą część starających się: powoli pierzchać zaczęli wszyscy. Pustki żałobą okryty dom zaległy. Gdy się to działo, a opiekunowie Justyny przygotowywali bronić jej praw niezaprzeczonych baron Brock uczynił krok do — porozumienia.

Sam osobiście stawiał się do p. Radzcy Dzierżyckiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jerzy Brandes w Warszawie.

(Dokończenie).

Mało jest umysłów, któreby podobnie jak Brandes, łączyły dary rozumu z durami wyobraźni mało pisarzy równie zdolnych do prowadzenia analizy racjonalistycznej w sposób tak powabny. Treść nauczająca wiąże się tu i splata nierozdzielnie ze stylem swobodnym, lekkim, pięknym, pod którym nie czuć wcale wysilenia mózgu, ale czuć naturę bujną, silną, tętniącą życia. Żadnego zgoła wysiłku nie dostrzeżesz w tej pięciotomowej galerii obrazów literackich, a na każdej stronicy uderza cię siła przekonania, samodzielność sądów. Nie wszystko tam jest ściśle oryginalne, ale wszystko oryginalnie przetrawione, przyswojone organizmowi umysłowemu. Pod względem formy Brandes jest nawet powabniejszym, bardziej ujmującym od swego pierwowzoru Taine'a, nie będąc mniej od niego głębokim. Zrozumienie dzieła jest dla niego zrozumieniem człowieka, a zająęcie w głębi człowieka bez pojęcia, epoki, w której działał — niemożliwym. Ztąd wynika to rozległe a na wiele warstw rozpadające się tło historyczne jego obrazów literackich. Jeżeli życie jest źródłem literatury żywej — życie indywidualne i życie zbiorowe — to i w umarłej a wskrzeszanej przez umysł pierwszej też przyczyną, ostatecznym dnem odtwarzanych sił i zjawisk być musi. Z tej prawdy wywodzi prawa swoje metoda historyczna; w tej prawdzie również tkwi potrzeba wykrywania psychologicznego węzła przyczyn między dziełem a człowiekiem. Nie Brandes, ani Taine, tę metodę wynaleźli, ale obaj są jej najwybitniejszymi dziś może przedstawicielami. W dziele Brandesa strona formalna jest tak silną, że dzieło to sprawia raczej wrażenie samostannego utworu literackiego, niżeli pracy naukowej, zajmującej się literaturą. Lekceważenie bibliografii i chronologii literackiej niekiedy posuwa się aż na krawędź dozwolonej możliwości. Jest w tem, co czytamy wiele rozumu, wiele chłodnej, niemiłosiernej analizy, ale jest więcej jeszcze wyobraźni, która rzeczywistość układa własną swą siłą i wolą, tak, jak poeta składa w całość żywioły swego poematu, według własnej swej nieprzepartej potrzeby. Literaturę z *Głównych prądów* nauczyć się nie można; ale przed oczyma tego, kto ją w głównych już jej faktach przedtem już poznał, dzieło Brandesa przedstawia się jak wielkie malowidło, wielki popis kolorystyczny: powiększa zarysy, nadaje im pełnię życia przez barwy i światło. Jest to jedna z najprzyjemniejszych książek do czytania.

Niewiara idealistyczna, obejmująca w sobie i ateizm religijny, nie przeszkadza bynajmniej dziełu Brandesa być czemś więcej niż prostym tylko rozróżnianiem zjawisk i ludzi na anatomicznym stole materializmu udrapowanego pozytywnie. To coś więcej zawdzięcza Brandes swojej wyobraźni, swojej niezwydłej jeszcze młodości, która, nie wierząc w samoistność ducha, umie wszakże zachwycać się urokiem życia, rozumie je, kochać dla niego samego, pałający jego żar odczuwać. Jeżelibyśmy mieli określić filozofią służącą za podścielisko dla historii literatury Brandesa, zdaje nam się, że najwłaściwszym byłoby wyrażenie, iż jest on czcicielem energii ludz-

kiej: chce zawsze tego i żąda, aby człowiek sił swoich nie pętał, ale je w pełni do działania powoływał, aby miał odwagę być sobą i cały w dziełach swoich żył. Pisarz jest dla niego tem wyższy, im więcej przekonania i im potężniejszym słowem wypowiedział; przekonania te łączą pisarza z jego własnym społeczeństwem, z epoką, w której żyje, przez nie nabywa on wagi i zasługi. Jest to więc pojęcie pisarstwa w istocie swojej odpowiadające temu, jakie zamknął Carlyle w swych prelekcjach „O bohaterach i czci bohaterów w dziejach“; zachodzi jednak między obu umysłami jedna ogromna różnica: Carlyle jest ideologiem zachowawcą, nietrzymającym przecie z Torysami angielskimi; Brandes jest vitalistą, nie wierzącym w idee, ideały i duchy inne, prócz tych, jakie się wykombinować dadzą z samych myśli ludzkich. Dla Brandesa duch jest tylko nazwą: żyje istota ludzka, ale tylko wtedy, kiedy naprzód idzie, i oile ten pochód jej jest postępek; życie umysłowe wyobraża sobie Brandes jako ciągłe zdobywanie wiedzy i przetwarzanie pojęć; kto wiedzieć nie chce i myślenia się wyrzekł, ten już żyć przestał. Z namietnem gniewem ściga autor wszystko co istnieć pragnie poza sferą rzeczywistych zjawisk psychicznych czy zewnętrznych, ale obserwacyą stwierdzić się dających. Pomimo całego odczytania, sumiennosci w pracy, trzeźwości w sądach, widać w nim stronność dla tych, którzy przekonania do niego się zbliżają: tak dalece człowiek dźwiga zawsze samego siebie i wnosi swoje ja wszędzie, nawet na ołtarz prawdy, wierząc, że jej część doskonałą oddaje.

Jak energia jest dla działalności literackiej przymiotem najpożądanym, tak wszystko, co tę energią tamuje, musi w pisarzu wstręt najżywszy obudzać. Nie sądzimy jednak, żeby Brandes przypominał tym wstrętem swoim wolnomyślicielom europejskich z epoki wiary idealistycznej od 1820 — 1860 r. Dążności polityczne zajmują go i burzają, jeśli są nieprawe, ale więcej w literaturze samej, niż w rzeczywistości, która nad literaturą panowała. W dziele znać raczej myśliciela socjalistycznego, niż umysłu solidaryzujący się z zagadnieniami państwowymi świata cywilizowanego, a w całości swego wykładu 5-ciotomowego Brandes przejawia się więcej jako kosmopolita, niż jako Duńczyk. Świeżego dowodu takiego usposobienia dostarczyła prelekcja o literaturze duńskiej, wygłoszona w Warszawie, w której pisarz z góry, jakby maczugą, uderzył w umysły słuchaczy tą prawdą — ale nie prawdziwą, a więc i niezdolną nikogo przerazić — jakoby istniała w świecie jakaś fatalna konieczność, sprawiająca, że słabi muszą się stawać jeszcze słabszymi. Brandes powiedział to z całym spokojem, bez drżenia, choć miał na myśli własną ojczyznę swoją. Cała ta prelekcja pierwsza była tendencyjną: miała wykazać wyższość pozytywizmu i literatury pozytywistycznej i myślącej tylko o zagadnieniach społecznych, nad idealizmem i literaturą idealistyczną, oderwaną od rzeczywistości, zwracającą się do takich ideałów, jacych bieżący potok życia ze sobą nie przynosi. O wyższości tej niepodobna było przekonać się z tego obrazku literatury duńskiej XIX w., na który nam Brandes patrzeć kazał. Nie widzimy przecież literatury Nuredina w swej przeciętnej wartości i w doniosłości dla celów narodowych miała być lepszą od literatury Aladyna. Jest wprawdzie dziś Lewica literacka, są walki z duchowieństwem i z krucyfiksem — taką walkę stoczył brat Brandesa, Edward — ale czy jest pozycja, czy jest literatura piękna, wyższa i lepsza od dawniejszej?

Jednym z przesądów Brandesa i jego Lewicy literackiej jest mniemanie, jakoby odpowiedzialność za nieszczęśliwy los polityczny Danii ciążyła na tej dawnej literaturze, którą nowi teraz ludzie, przyszedłszy do rozwoju, wymiatają, aby na jej miejsce wprowadzić literaturę zrodzoną z oja — rozsądku, a matki — obserwacji. Nowa ta literatura ma służyć lepiej interesom społecznym, powołaniu piękna, prawdy i dobra, niż lawniejsza; ma zapewnić ojczyźnie większą sumę ogólnego szczęścia, bodaj nawet czy nie chronić jej od burz dziejowych. Ponieważ *quisque suae faber fortunae*: wyedukuje więc ta literatura

umysły tak, aby żyć i myśleć umiały i głupstw już więcej nie robiły; rzeczywista wiedza da zdrową oświatę, a przy takiej oświacie—wszystko już dobrze pójdzie musi. Czy Niemcy oddadzą wtedy Szlezwig? A takoby się tam o niego dopominał! Straszna konieczność historyczna, ziejająca z nadmiernego rozwoju potęgi niemieckiej, grozi Danii zupełnem pochłonięciem jej przez Niemcy. Miałaby się lewica literacka myślać tą trwożyć, miałaby kamerton swój z tonu *dur* na ton *mol* nastrojać? Byłby to idealizm epoki dawnej, niegodny nowej. Niech tam jakieś Junggreeny i Lasseny krwawym potem ociekają na sejmach berlińskich w walce z cynizmem pangermańskim; ta nowa literatura, ta nowa, dość oryginalna, poezja „*qui ou lieu de créer se mit à comprendre*“, nakaże bohaterom swoim wytańcować tarantele na scenie, bohaterom doświadczając na sobie skutków chorób dziedzicznych, jakichby może nawet Zola nie śmiał udrammatyzować dla teatru—i wszystko dobrze pójdzie. Jak w oskarżeniach, tak w marzeniach jest przesada ducha stronniczego; jest wiekniute spychanie starych przez młodych, nalewanie młodego wina w stare statki—niema prawdy.

Młodzi muszą być zawsze fanatykami, jeśli mają kiedyś zasłużyć na dostojną nazwę mężów; młodość jest jak wulkan: wybuchnie, zaleje zasypie, zniszczy—i ostygnie. Jej wybuchy pierwotne gotują grunt, jej prace późniejsze przynoszą na tym gruncie owoce. Z pierwszych zapalów wychodzi ton zasadniczy życia społecznego z późniejszej ostudzonej już działalności—sama muzyka. Brandes nawet przyznaje konieczność i pożyteczność tej prawidłowej reakcji, która po każdym nowym wylewie duchów powściągać musi zbytne zapędy, uspakając gorączkę, przycierając rogi, wprowadzać ład i miarę w myśli, która chaotycznie rwą się tylko naprzód i naprzód. Absrakcyjne ideały rozumu z biegiem lat zniżają poziom swych lotów, stają się coraz praktyczniejszymi, tracą bezwzględność i olbrzymiosć, ale zyskują statek i cierpliwość. Odezwany rozum, jeśli ma dokazać czegoś w życiu, musi się stać mądrością; tylko siła spokojna w umysłowych walkach zwycięża. Kto takiej formacji wulkanicznej nie przeżył, ten po czterdziestym roku życia zostanie genialnym może dziwakiem, ale tylko dziwakiem. Błogosławioną niech będzie młodość, że z krwią swoją młodą myśl społeczeństwu przynosi; błogosławioną naturą rozumu ludzkiego, że nie ma jednej już gotowej nieomyślnej prawdy; błogosławionem życie, że może być walką, ścieraniem się, burzą. Jak niesprawiedliwymi być muszą, u nas czy gdzieindziej, wyroki wydawane na starych, tak niesprawiedliwymi też i niedorzecznymi będą zawsze oskarżenia rzucane na młodych. Dobrodziejstwem rzeczywistym jest tylko ruch w społeczeństwie, bodziec do poprawy, nawoływanie do czynu. Można nie drzeć na widok tych małych Dżengischanów postępu, co-to wołają, że jedna jest tylko prawdziwa filozofia, jedna prawdziwa socjologia, jedna teoria naukowa, literacka, czy estetyczna—a poza tem jedynym tylko błęd, ciemnotą i szkaradą. W rzeczywistej umysłowej jest miejsce dla wszystkich: i dla mistyków i dla największych materyalistów, i dla zdrowego idealizmu i dla szczerego pozytywizmu, i dla zwolników Kanta i dla wyznawców Comte'a i jego nowszych przetworców, i dla demokratów i dla aristokratów, dla wsteczników i dla postępców. Co więcej nawet: wszystkie te najróżnorodniejsze siły, dążności i doktryny są nie tylko uprawnione, ale niezbędne dla życia. Społeczeństwo jednostajnie nawskroś postępowe byłoby równie zacołanem, jak społeczeństwo złożone z samych tylko wsteczników. Harmonia w rozmaitości jedynie jest możliwą: jeden ton nie wyda akkordu. Nie ta lub owa doktryna jest straszną, ale chińszczyzna niemrawa, spleśniała, wewnętrznego i zewnętrznego ruchu pozbawiona. Taką chińszczyzną da rzył nas Jezuitizm przez wiek cały. Tak samo mogłoby nią uszczęśliwić i pozytywizm, gdyby wyłącznie zapanował.

Oba prądy, postępowy i zachowawczy, są zawsze i wszędzie potrzebne i ani jeden ani drugi wyłącznego przywileju na życie nie posiada.

Społeczeństwo każde musi do pewnego stopnia postępować, zdobywać, czego jeszcze nie ma, i do pewnego stopnia znowu zachowywać to, co już posiada. Jest sfera postępu, jest sfera zachowawczości, a w żadną z nich myśl przecząca bezkarnie wtargnąć nie może. Do życia potrzeba i rozumu i wiedzy i talentu i uczucia i charakterów. Hasło pozytywne „Wiedza—to potęga“ wtedy tylko będzie mądrem, to jest do dobra zmierzającym, gdy się uzupełni przez hasło: „Uczucie—to potęga i charakter—potęga“. Są chwile, w których byt cały na charakterach się opiera. Możemy mieć rozmaite pojęcia psychologiczne, możemy wyrozumiewać mechanizm człowieczeństwa ze stanowiska wszelkich możliwych zasad; nie dowiedzimy nigdy, żeby zdobycie wiedzy było zdobyciem uczucia niezbędnego do życia w całości, lub wyrobieniem tej mocy, bez której największe nawet talenta, wiedzę, rozumy przepadają marnie dla bytu powszechnego. Zupewne: jaką będzie umysłowość narodu, takim będzie i jego życie; ale umysłowość nie zależy od samej tylko literatury; wpływa na nią ogromnie, i w wyższym może jeszcze stopniu, szkoła, wpływają ogólne prądy wiejące w ludzkość, a potężnym też czynnikiem są wypadki współczesne, całkiem od literatury niezależne, nawet daleko poza obrębem działalności umysłowej leżące. Literatura jest tylko jedną z dźwigni życia, ale nie jest życiem samem, i w samej literaturze wreszcie nie wszystko może i powinno poczynać się w łonie potrzeby społecznej, nie wszystko ma zmierzać do celów i zaspakając interesy społeczne: musi być sferą nietendancyjną, naiwną, niejako, twórczości, bez utylitarystu, bez celowości—z jednym tylko celem wytwarzania żywego piękna. Strona utylitarystyczna, tendencyjna, publicystyczna literatury jest bezwątpienia najważniejszą, bo milion więcej znaczy niż jednostka, a życie więcej niż piękno; lecz historia aż nadto wymownie przekonywa, że najtrwalszymi są te pomniki literackie geniuszu ludzkiego, które do żadnego celu praktycznego nie służyły, żadnych prawd nie zotrząsały, żadnych interesów nie popierały, żadnej nie hołdowały tendencji, i na żądanie utylitarnej legitymacji odpowiadały, jak Bóg biblijny: „Jestem ten który jestem“. Jest to właściwa literatura twórcza. W im pomyślniejszym stanie znajduje się powszechność, tem silniejsze jest natężenie takiej literatury wolnej, w stosunku do niewolnej, praktycznej. Poezja, którą sobie za zadanie wzięła, jak powiedział Brandes, „wyrozumiewanie tego, co jest, i tego, co być powinno—nie byłaby już poezją. Dlatego szkoła pozytywna, nie tylko teoryami, ale i produkcją swoją, nie wzbogaca ani sztuki, ani literatury w ścisłym znaczeniu.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Lutym 1885 r.

Zmarli: dr Tadeusz Żuliński, Jan Krechowicki.—Przemysł artystyczny.—Ceramika krajowa.—*Dziela Jana Lama*.—*Przyjaćiel drobiu* przez Jana Popławskiego.—Odczyt p. Wierzbickiego „Dzieje nici złotej w starożytnych i w nowożytnych tkaninach“.

Pod smutnem wrażeniem rozpoczynam list dziśszy. Pod pióro cisną się wspomnienia pośmiertne. W Styczniu umarł Tadeusz Żuliński, jeden z najbardziej tu wziętych lekarzy, mąż najzaczniejszy, filantrop w najczystszej słowa znaczeniu, wylany na usługi społeczeństwa, całe życie i wiedzę swą niósł mu w ofierze, nieustraszonej w pracy, której nadmiar ostatecznie przyspieszył śmierć przedwczesną w pełnej sile wieku. Pomimo obowiązkowych zajęć w szpitalu, pomimo, że był obciążony pracą w Radzie Miejskiej, w której od lat wielu zasiadał, jako członek sekcji sanitarnej, pomimo zajęć redakcyjnych i prac naukowych, ś. p. Żuliński poświęcał czas

Wszystek pozostający mu do rozporządzania praktyce lekarskiej, nie tylko w domu, gdzie w godzinach ordynacyjnych formalnie bywał oblegany przez rzesze cisnące się doń chorych, ale i poza domem, wszędzie, gdzie poradę jego i pomocy zapotrzebowano. Po najdalszych przedmieściach, po najuboższych zaułkach, równie jak po domach zamożnych, niósł chorym zdrowie, pociechę strapienym, a obowiązek niesienia pomocy bliźnim i powołanie nauki cenił tak wysoko, że w swym zanadto idealnym poglądzie leczył bezpłatnie, nie biorąc nigdy od nikogo wynagrodzenia za poradę lekarską, czy ją dawał ubogiemu czy zamożnemu. Gdyby nie to, byłby przy rozległej swej praktyce wieloletniej mógł duży zrobić majątek. Ludzie pozytywnie na rzeczy się zapatrujący mieli mu za złe tę nieogłędność na własną przyszłość i poczytywali go za dziwaka; ale on, wierzący przyjętej zasadzie, wytrwał w raz powziętem postanowieniu filantropijnem, ograniczając w jak najskromniejszym zakresie własne potrzeby i opędzając je z swej płacy szpitalnej. Powiadają, że gdy był jeszcze studentem medycyny, zachorowała mu śmiertelnie matka, którą kochał nad wszystko. Wówczas-to miał uczynić ślub, że jeżeli Bóg dozwoli wyzdrowieć matce, on przez całe życie odda wszystką swą pracę i naukę społeczeństwu, bez innego nad to wielkie dobrodziejstwo wynagrodzenia, i leczyć będzie wszystkich, bez wyjątku, bezpłatnie—i tak też uczynił.

Nie wchodźmy w powody, ale uczcijmy zasługę ś. p. dra Żulińskiego, jego miłość ludzkości, pracę dla kraju, zacność duszy niezrównaną, objawiającą się na każdym kroku w życiu publicznym i prywatnym. Był to charakter czysty jak kryształ i jak kryształ niezłomny, i bardzo trafnie powiedział o nim ktoś z moich znajomych, dowiedziawszy się o jego śmierci: „Będą rozmaici, ale takiego już nie będzie“.

Ś. p. Żuliński obok praktyki lekarskiej oddawał się nieustannie pracom naukowym. Bibliografia wyliczyła osmdziesiąt kilka rozmaitych jego rozpraw i artykułów, przeważnie treści lekarskiej, umieszczonych po różnych czasopismach. Ostatnimi czasy, będąc wice-prezesem tutejszego towarzystwa gymnastycznego „Sokół“, redagował czasopismo będące organem tej instytucji siły i zdrowia: „Przewodnik gymnastyczny“. Najwięcej pracował i pisał w przedmiocie higieny, wychodząc z tego przekonania, że rozpowszechnienie prawdziwych w tym względzie pojęć i przestrzeganie ścisłe przepisów higienicznych, przyczynia się jaknajskuteczniej do dobrobytu społeczeństwa, do wychowania silnych i pracowitych pokoleń, w których zdrowym ciele zdrowe też dusze i silne wykształcą się charaktery. W tym też kierunku pracował jaknajusilniej jako radny miasta w sekcji zdrowia i wiele bardzo pożytecznych reform higienicznych miasto nasze jego staraniom i wnioskom zawdzięcza. Rada Miejska, chcąc uczcić zasługi współpracownika od lat kilkunastu nieprzerwanie w jej gronie zasiadającego, postanowiła sprawić mu pogrzeb i pomnik kosztem miasta, a ulicę, przy której mieszkał, ku wiecznej pamięci nazwać ulicą „Tadeusza Żulińskiego“. Pogrzeb był wspaniały, a to nie tylko świetnością, na jaką się w takich razach przepychy światowy zdobyć może — ale bardziej jeszcze żałobą powszechną, przejmującą nieprzeliczone tłumy pogrzebowego orszaku, ze wszystkich sfer społecznych złożonego. Sześćdziesiąt kilka wieńców od rozmaitych stowarzyszeń, szkół i zakładów, których zmarły był opiekunem, kuratorem, twórcą lub lekarzem, rzucono w grób na trumnę prawego obywatela, a każdy z nich był wyrazem rzetelnego społecznego, z każdym spłynęła do grobu łza serdecznego żalu. Przy wynoszeniu zwłok z pomieszczenia pięknie przemówił nad trumną, w imieniu Rady Miejskiej, członek tejże, professor uniwersytetu, Dr Gustaw Roszkowski, słowami czci i pożegnania.

Zaledwo z tej pogrzebowej wróciliśmy pielgrzymki, już druga otwarła się mogiła, i karty pośmiertne powołały do oddania ostatniej posługi jednemu z weteranów, których garstka umniejsza się już z dniem każdym i zniknie bez innego śladu, oprócz wspomnienia dziejowego. Zmarły obecnie ś. p. Jan Krechowicki, urodzony na Ukrainie, zamołodu żołnierz, przeniósłszy się następnie do Ga-

licy i, zamieszkawszy we Lwowie, był przez lat kilkanaście urzędnikiem przy bibliotece Zakładu im. Ossolińskich. Kochany i szanowany dla swych zacnych przekonań i cnót obywatelskich, obecnie, już starzec osmdziesięcioletni, był żywą tradycją wspomnień Uniwersytetu Wileńskiego, gdzie kolegował z Mickiewiczem, za czasu Gniadeckich, Grodka, Lelewela. Spisał też odnoszące się do tego okresu pamiętniki, zawierające wiele ciekawych szczegółów.

Po tych wspomnieniach pogrzebowych nie mam już ani odwagi, ani chęci spisywania balowej kroniki karnawału, który w tym roku był u nas bardziej ożywiony niż kiedykolwiek. Dlaczego? trudno by na to odpowiedzieć; bo szczególnych powodów do wesołości nie było. Wolę przejść na inne pole i zanotować parę szczegółów, dotyczących dziedziny przemysłu, sztuki i literatury. Ostatnimi czasy zaczęło się u nas bardzo zajmować potrzebą podniesienia *przemysłu artystycznego*, tj. dążnością ku uszlachetnieniu i nadaniu cechy artystycznej wyrobom służącym do powszedniego użytku w domowym otoczeniu. Ozdobność, prostota i wdzięk artystyczny otaczających nas sprzętów, w najuboższym nawet domu wpływają na uszlachetnienie naszych usposobień, na obudzenie zmysłu estetycznego, będącego podstawą moralnych i cywilizacyjnych czynników, i potężnie do rozbudzenia ich przyczynić się mogącego. Dyrekcja tutejszego *Muzeum miejskiego* dąży ku rozszerzeniu w tym kierunku istniejącej przy temże muzeum szkoły rysunków i modelowania, a to za staraniem głównie p. Wierzbickiego, jednego z członków dyrekcji muzeum, zajmującego się jaknajgorliwiej rozwojem i udoskonaleniem organizacji tej szkoły.

Idąc za tym przykładem, prowincjonalne nasze szkoły garncarstwa i rzeźbiarstwa usiłują spórzawodniczyć o lepsze w artystycznej ozdobności, a wydawane przez p. Wierzbickiego *wzory przemysłu domowego* podają w pięknych ilustracjach niewyczerpany zasób oryginalnych motywów i wskazują właściwą postępu drogę. W handlu pachnideł p. Ihnatowicza oglądaliśmy temi dniami, wystawione na widok publiczny, naczynia gliniane wyrobu szkoły garncarskiej w Kołomyi, przeznaczone na wystawę do Antwerpii, na którą p. Ihnatowicz wysłał w nich swe pachnidła najrozmaitszych nazw, w których wymyślaniu, mówiąc nawiasem, jest niewyczerpany. Nie wiemy, czy jego *Brylantyny*, *Cezaryny* i inne tym podobne *ptyny* i pomady, pozyskają na wystawie antwerpijskiej taką wziętość, jak u naszych pań lwowskich, i nie możemy się nieraz zgodzić z polszczyzną p. Ihnatowicza w jego reklamach i ogłoszeniach, będącą często w sprzeczce z Kopeczyńskim Lindym, ale wdzięczni mu jesteśmy, że je posyła na wystawę w naczyniach krajowego wyrobu, które zaznajomią cudzoziemców z naszą swojską ceramiką, z oryginalnością jej wzorów, dobrem wypaleniem i świetnością glazury.

Wyszedł pierwszy tom dzieł Jana *Lama*, znanego humorysty, który przez lat blisko dwadzieścia nieprzerwanym ciągiem zasilal publicystykę tutejszą humorystycznymi felietonami, powtarzającami się peryodycznie co tygodnia pod nazwą „Kronik lwowskich.“ Wszystkie sprawy bieżące, polityczne, literackie, społeczne i w ogóle miejscowe znajdowały tu stosowną wzmiankę i ocenienie we właściwym podane sposobie, zaprawne ironią, często słusznie potępione lub pochwalone, według tego, na co zasługiwały. Obok tych „Kronik“ stanowiących najobszerniejszą część literackiej działalności *Lama*, której nie zaprzestał do obecnej chwili, pomimo, że od roku już ciężką złożony chorobą, z fizycznymi walczy dolegliwościami, napisał on szereg powieści i pomniejszych noweli, które wydają obecnie razem w trzytomowym zupełnym wydaniu. Tom pierwszy, ozdobiony bardzo dobrze wykonanym portretem autora, zawiera dwie pierwsze jego powieści, które wprowadziły go, że tak powiem, na pole powieściopisarskie i zjednały mu na niem odrazu wziętość zasłużoną. „Panna Emilia“ i „Korcniarz w Galicyi“, są to dwie obszerniejsze rozmiaru humorystyki, w guście powieści Dickensa, będące fotografią stosunków galicyjskich zprzed lat dwudziestu kilku. Jest w nich dużo trafnej satyry,

ożywionej humorem, dużo prawd rzuconych jakby mimochodem, z ironicznym przekąsem, który częstokroć bywa skuteczniejszym od poważnej przestrogi. Wprawdzie szkło fotografa może tu i owdzie zaciemniło się cośkolwiek mgłą nieco pesymistyczną, którą przesłonięte przywary czasu rysowały się tu owdzie zbyt czarno; ale nie można się temu dziwić, albowiem rzeczy te pisane były pod świeżym wrażeniem stosunków silnie poruszających umysł, które i na usposobienie autora w chwili pisania nie mogły pozostać bez wpływu. Wydanie niniejsze dzieł *Lama* wyjdzie w trzech tomach, z których drugi obejmie najcenniejszą z jego powieści: *Głowy do poztoty*, a trzeci — pomniejsze nowelle i humoreski.

Pożyteczną dla gospodyń książeczkę wydała księgarnia Łukaszevicza: *Przyjaciel drobiu*, przez Jana Popławskiego, poradnik, wskazujący treściwe sposoby pielęgnowania drobiu, zapomocą których gosposie wiejskie mogą dojść do tego, aby drób przynosił w gospodarstwie domowym w części przynajmniej, taki dochód, jaki przynosi w Normandyi, Belgii, a nawet w Niemczech, gdzie chowem jego nie zajmują się tak gorliwie, jak we Francji. U nas upowszechniło się mniemanie, że chów drobiu jest zbyt kłopotliwą gałęzią kobiecego gospodarstwa, że się opłacać nie może, lecz tylko na użytek domowy, z konieczności niejako się pielęgnuje. Przyczynia się do tego także niechęć panów małżonków gospodarzy, którym inlyki, gęsi i kury zakradają się pod sterty i brogi i czynią szkodę w gumnach, gęsi psują ląki, kaczki wyjadają zarybek po stawach, a rzesze gołębie wydziobują świeżo rzucone nasienie z roli. Są to wprawdzie niegodności, których się wszakże ustrzedz i którym zapobiedz można przy pilności nadzoru, a poradnik, o którym mowa, wyraża, jak na dłoni, na podstawie sprawdzonych doświadczeń obliczeń, że chów drobiu, nietylko może, ale powinien stanowić znaczną rubrykę dochodów w gospodarstwie kobiecym u nas, yleśmy umieli, jak powiada autor, to, co mamy, poprawić i lepiej zużytkować. Najobszerniej nowi o kurach, uważając chów ich za najbarłziej odpowiedni i zyskowny w naszych stosunkach gospodarskich. Ale dość na tem. Gosposie, których przedmiot ten zajmuje, niech dla zaspokojenia ciekawości przeczytają całą książeczkę, gdyż na to zasługuje, a pewien jestem, że znajdą tam niejedną uwagę, z której skorzystają.

Bardzo zajmujący dla świata niewieściego odczyt miał temi dniami w Sali Ratuszowej, dyrektor muzeum przemysłowego p. Wierzbicki: „O nici złotej w starożytnych i w nowoczesnych tkaninach.“ Tkaniny starożytne odznaczają się tem, że użyta do nich nie złota zachowuje dotychczas swój blask pierwotny, podczas gdy złoto w dzisiejszych użyte tkaninach czernieje wkrótce, prawie pod ręką robotnika. Ta okoliczność skłania do zwrócenia szczególniejszej uwagi na ten przedmiot, aby zbadać przyczyny takiego upadku i technikę w tym względzie napowrót uszlachetnić i do dawnej podnieść świetności. Był czas, że i u nas tkaniny złote na wysokim były stopniu doskonałości, czego dowodem wyrabiane niegdys pasy lite, zachowujące do dnia dzisiejszego swą pierwotną świetność. Śledząc przeobrażenia nici złotej w tkaninach różnych czasów podzielił p. Wierzbicki jej dzieje na trzy epoki, z których pierwsza obejmuje czasy najdawniejsze do wieku XI-go, druga sięga do końca wieku XVI, trzecia po koniec XVIII. Przebieg tych przeobrażeń odsłaniają nam starożytne i średniowieczne grobowce. W grobach staro-egipskich w tkaninach, któreimi owinięte znajdują się mumie, nie znaleziono nigdzie złotej tkaniny, chociaż Księgi Mojżeszowe świadczą, że znano je już podówczas i że nici złotej używano ku przyozdabianiu szat kapłańskich u żydów; niepodobna zatem, ażeby nie znali tego rodzaju tkanin Egipcjanie, będący w tak blizkiej styczności z Żydami podczas pozostawiania tychże w niewoli egipskiej. Prawdopodobnie panujące u Egipcjan pojęcia czci pośmiertnej nie dozwalały złotem owijać ciał nieboszczeków. Znalezione niedawno na Półwyspie Krymskim szereg starożytnych greckich grobów okazał dokładnie właściwości tkanin złocistych u starożytnych Greków. Dalszem świadectwem

przeobrażenia, jakim technika tej dziedziny pracy w biegu czasu ulegała, jest płaszcz, którem znaleziono owinięte zwłoki Karola Wielkiego, w grobowcu niedawno odkrytym; płaszcz cesarza Henryka II przysłany mu w darze od króla Saracenów; wreszcie płaszcz koronacyjny św. Szczepana, przechowywany pomiędzy insygniami koronacyjnymi w skarbcu królewskim w Pesce. W pierwszej epoce używano do tkanin nici *szerzotej*. Nie dziw więc, że przechowywały one pomimo długiego czasu i pleśni grobowej całą swą świetność pierwotną. W drugiej epoce weszło w użycie tak zwane *Złoto Cypryjskie*, a następnie Nić Aleksandryjska. Istota Złota Cypryjskiego długo pozostawała tajemnicą dla przemysłu dzisiejszych, aż wreszcie po bardzo starannych szczegółowych badaniach przekonano się, że była to nie zwykła jedwabna, owita złoconymi plewkami jelit zwierzęcych, we właściwy sposób ku temu przyrządzonych. W tkaninach chińskich nie jedwabna owita złoconym papierem, zastąpiła szczerze złoto; a w ostatniej epoce używano nici srebrnej słabo ze znaczną przymieszką miedzi złoconej, czem się tłómaczy nietrwałość jej barwy. Wymowny, a zarazem zabawny tego przykład przytoczył p. Wierzbicki z ostatniej wystawy powszechnej paryskiej, gdzie znajdowały się przysłane przez Księcia Walii przedmioty ofiarowane mu w darze przez książąt i nabobów indyjskich, podczas jego podróży po Indjach. Dziwiło to każdego, iż w znajdujących się pomiędzy tem złotem przepysznym przerabianych lub haftowanych tkaninach, na tychsamych przedmiotach złoto miejscami zachowało całą świetność, zaś miejscami tuż obok zupełnie poczerniało. Tajemnica tego tem się tłómaczy, że gdy zapowiesziano przyjazd księcia Walii do Indyi, nabobowie tamtejsi pośpieszyli przygotować dlań, obyczajem Wschodu, bogate dary. Złociste tkaniny wymagały wielkiej ilości nici złotych, a gdy tej nie było pod ręką, usługni przemysłowcy angielscy dostarczyli ile było potrzeba, tak więc nici złote, swojskiego wyrobu, pomieszały się z fabrykatem angielskim, a wnet poczerniawszy, stworzyły dziwną tkaną mozaikę barw lśniących i świeżych z wypłowiałemi. Grzechy przemysłu angielskiego zemściły się tym razem na monarchym przedstawicielu Anglii.

Obecnie, gdy poznano technikę wyrobu Złota Cypryjskiego, wracają czasy świetności tkanin złocistych i powstały już na wielki rozmiar założone fabryki dla dostarczania nici złotej, nietraczącej barw pierwotnych pod wpływem czasu. Muzeum tutejsze przemysłowe pośredniczy w sprowadzaniu tego wyrobu, o czem nasze zwolenniczki złocistych haftów z przyjemnością z pewnością się dowiedziały.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— W Sali rysunkowej dla kobiet Warszawskiego Muzeum Przemysłowego jest zapisanych i uczęszczających osób 83. Z tych jedna połowa, w liczbie 41, przybywa tam w Poniedziałki, Środy i Piątki; druga, osób 42, we Wtorki, Czwartki i Soboty. W liczbie tej znajduje się: nauczycielek 12, malujących na szkle i porcelanie 18, retuszerek fotografii 18, grawerek 12, litografek 2, kwiaciarek 15, krawczyń 14, szewczek 2. Do sali rysunkowej mekziej uczęszcza osób 82.

— Na czerwcową wystawę przemysłowo-rolniczą zapisało się już wystawczyń kilka: Drasz Marya (sztuczna biżuteria), Fijałkowska Kazimiera (wyroby pończosznicze), Nowakowska Amelia (meble), Płodowska Bronisława (hafty), Marya Reichel (drób), Świdarska (zakład rękodzielniczy), Sarniewicz (wyroby pończosznicze).

— Znad granicy pruskiej pismo nasze otrzymało wiadomość od Zofii-Cecylii: „córkę średniozamożnego właściciela ziemskiego“, o fabryce pończoch, którą założyła i prowadzi z powodze-

niem we wsi rodzinnej, w domu rodzicielskim. Korrespondentka pisze, że otrzymała wykształcenie umysłowe takie, jakie u nas posiada kobieta przeciętna: to jest skończyła kurs nank na 5-cioklassowej pensyi warszawskiej, włada dobrze językiem francuskim i niemieckim, rozumie poangielsku, gra na fortepianie z zamiłowaniem, jakkolwiek nie posiada w tym kierunku wyższego uzdolnienia, i śpiewa trochę. Wróciwszy z pensyi do domu, na wieś, przez lat trzy dopomagała matce w gospodarstwie domowym i wtedy czuła się użyteczną, nie próżno jedzącą chleb rodzinny, gdyż zarabiała na to. Ale w roku zeszłym wróciła z pensyi młodsza siostra, która powinna była zająć przy boku matki to miejsce, gdyż należy jej się z kolei tak praktycznie uzdolnić się w gospodarstwie, jak to przechodziła poprzednio ona sama. Ze zaś rodzina nie jest tak liczną, ani dom tak wielkim, aby potrzeba było matce dwóch pomocnic, zatem ona postanowiła zająć się jakąś pracą zarobkową, nie wydzielając się jednak z rodziny. Z początku myślała o wyrobie sztucznych kwiatów, ale nie była pewną, czy znajdzie na nie w okolicy dość pokupu i zarobi tyle, ile utrzymanie jej, to jest stół i ubranie, kosztować może rodziców i ostatecznie namyśliła się na wyrób pończoch średnio-cienkich dla dzieci i wieszniaczek. Nabyła w Warszawie odpowiednią maszynę, wyuczyła się jej używać, i rozsyłając wyrób swój do miasteczek na jarmarki i targi, znajduje zbyt na niego. Często zgłaszają się do niej do domu kramarze wędrowni, lub osoby pojedyncze, którym sprzedaje, czy na tuziny, czy nawet po jednej parze, i takich właśnie żądań ma bardzo wiele. Mieszka we wsi kościelnej, parafia obejmuje wsi kilkanaście i w Niedzielę przede mszą lub po mszy, przychodzą do niej interessentki, kupując gotowy towar, lub go zamawiają sobie. Z początku nie chciała targować w Niedzielę, ale spostrzegła, że odstręczałoby to kobiety z dalszych wiosek, i tylko w czasie odbywającego się nabożeństwa sklep jej jest zamkniętym. Wiele dworów okolicznych także zgłasza się do niej, nie tylko po skarpetki męskie i pończochy dziecięce, ale z żądaniem kobiecych pończoch kolorowych, które też przeważnie wyrabia. Mnóstwo właśnie takich pończoch: kolorowych i średnio-cienkich, wprowadzano w okolicę z Prus; dziś, jak Zofia Ceylia sądzi, zmniejszył się stanowczo ten dowóz niemiecki. Ona sprzedaje swój towar po cenie możliwie niskiej, wedle ceny stałej, która pokrywałaby koszt i dawała godziwy zysk za podjętą pracę, przyczem musi się znaleźć i procent pewny od kapitału wyłożonego na maszynę. Zofia Ceylia wyuczyła przy sobie roboty pończoch maszynowych dwie młode dziewczęta: córkę ekonoma i wiejskiego komornika.

Zofia Ceylia przybędzie do Warszawy na czas wystawy czerwcowej; sama wystawczynią nie będzie, bo jeszcze nie ma z czem występować, ale chce się przypatrzeć najlepszym wyrobom w jej rzemiosle teraz, gdy doświadczenie, dawniej nieposiadane, pomoże jej w czynieniu spostrzeżeń. Ma też nadzieję nabyć drugą maszynę, już dla wyrobu pończoch cienszych. Lecz jest to jeszcze rzeczą namysłu, bo nie wie jeszcze sama, zali wyrób grubszych nie okaże się korzystniejszym z powodu większego zapotrzebowania takowych przez lud wiejski i może też maszyna druga będzie również dla wyrobu średnio-cienkiego. Zofia Ceylia zaczęła od tej chwili dopiero zyskiwać rzeczywiście, gdy uzbierawszy już coś grosza, mogła czynić większe zapasy bawełny. W Czerwcu czytelniczki naszego pisma otrzymają od niej za jego pośrednictwem szczegółowe rachunki, przedstawiające dokładnie cały obraz jej przedsiębiorstwa, któremu daj Boże jak najszczęśliw-

szę powodzenie. Przemysł domowy nie odrywający pracującej od ogniska rodzinnego, jest u nas, a sądzić trzeba, że i wszędzie, najwyżej pożądaną gałęzią pracy kobiecej.

Zofia Ceylia dodaje na zakończenie, że ta jej praca, niewyczerpująca całkowicie jej czasu i pozwalająca jej, choć jest mechaniczną, żyć życiem istoty inteligentnej, nie jest bynajmniej uciążliwą, a przeciwnie uszczęśliwia ją, bo prócz zajęć, które nie pozwalają się nudzić, odpędza od niej czarne myśli i daje uspokojenie o przyszłość. Jeżeli by nie wyszła za mąż — ma obecnie rok dwudziesty drugi — to niemniej będzie mogła zapewnić sobie byt uczciwie niezależny, pozostając na zawsze w ukochanych jej stronach rodzinnych, gdzie ludzie są jej znani i życzliwi, tysiącem węzłów serdecznych z nią złączeni.

— Austriackie ministerstwo handlu, zatwierdziwszy postanowione przez konferencyą dyrektorów kolei żelaznych etaty kobiet, pełniących na tychże drogach służbę nadzorcą, nakazało, aby dozorcynie w chwili zajęć służbowych nosiły na prawem ramieniu przepaskę żółtą z czarnem.

— Angielskie czasopismo poświęcone sprawom wychowania: „Journal of education” ogłosiło wezwanie do publiczności z zapytaniem: których z żyjących pisarzy angielskich uważa ze względu na ich prace za najznakomitszych i najpożyteczniejszych dla angielskiego narodu wychowawców? Odpowiedź należało dać w liście pisanym do redakcyi, która otrzymała w ten sposób 620 głosów, dzielących się między 30 piszących: wposród tych znajdowało się siedm kobiet. Najwięcej głosów (72) otrzymał Herbert Spencer; najmniej Alexander Magnus (5). Z kobiet miss Beal otrzymała tyle głosów, ile Huxley (38). Inne: miss Buss 33; miss Shirreff 22; Mrs Grey 13, Mrs Bryant, Jowett, Fley po głosów osm. Ponieważ było to głosowanie na pewnego rodzaju konkurs, redakcyja, ustanowiwszy siedm nagród, nie zupełnie jednak otrzymała się wskazówek głosowania przy ich przyznawaniu. Otrzymała naprzykład nagrodę miss Buss (szkoły dziewcząt) mająca tylko głosów 34, gdy miss Beal liczyła ich więcej o cztery. Tak samo postąpiono z mężczyznami: Alexander Bain zajmujący drugie miejsce po Spencrze (gł. 50) nie dostał nagrody żadnej, gdy otrzymał ją (siódmą z rzędu) historyk Quick, mający głosów 32. Miss Buss otrzymała nagrodę piątą. Mrs Bryant jest znaną czytelnikom naszego pisma, ze streszczonej w niem (Grudzień 1884 r.), a bardzo pięknej prelekcji „Inteligencyja, jako czynnik w wychowaniu moralnem.”

— Urządzono w Paryżu wystawę publiczną obrazów świeżo zmarłej malarki, Ewy Gonzalès. Zbiór ten obejmuje osmdziesiąt obrazów: olejnych, pastelami i farbami wodnymi. Zmarła była córką romansopisarza, Emanuela Gonzalès, a uczennicą Edwarda Manne't, naczelnika i pierwszego przedstawiciela w malarstwie francuzkiem szkoły naturalistycznej. Młoda malarka, idąca w ślady swego mistrza, mimo wybitnego talentu, znajdowała bardzo mało zwolenników, a nawet była wystawiona na liczne ciosy ze strony krytyki, tak, że Zola w 1872 roku ujął się za nią w piśmie „Cloche.” Niewiele przecież ta protekcya pomogła jej, a raczej zaszkodziła i droga do szerszego powodzenia nie otworzyła się wcale, co służyć może za dowód, że mimo tego, coby sądzić można, Francya nie jest tak zmateryalizowana, jak się zdaje z powierzchownego o niej sądu. Piana-to występuje na wierzch i w oczy się rzuca, przytem ogół wszelki ma dla kobiet pod względem, o który tu chodzi, sąd surowszy i obok Ewy Gonzalès dowodzi tego los Ludwika Michel, pod wielu względami niepospolitej i szlachetnego serca kobiety. Dziś, kie-

dy już osobistość sztukmistrzyni odpadła od jej utworów, krytyka stawia je jako malowanie, wysoko, a mimo to nie znajdując one pokupu. Przeczyta się romans Zoli, kosztujący franka, który też można potem, jeśli wola, w kąć rzucić, ale nie kupuje się obrazów, z których nie przemawia do nas nic, wyżej pociągającego. Portret jej mistrza, Manne'ta, ma być bardzo piękny: „superbe”, jak się wyraża paryzki „Journal des Arts.” Zmarła niedawno wyszła za mąż, za malarza, także naturalistycznej szkoły, Guérard. Sądzą, że rozdrażnienie nerwów, które dało początek chorobie i śmierci, pochodziło ze stanu smutnego niezadowolnienia, powstającego z braku uznania, połączonego z poczuciem sił swych artystycznych. Pokój biednej, zwicniętej istocie.

— Kobiety Duńskie zeszkadek, w których wzięło udział 22,000, zakupiły 8 dział Kruppa i przy odpowiednim adresie ofiarowały je królowi na obronę kraju. Król, bardzo wzruszony, odpowiedział deputacyi kobiet, wręczając jej adres słowami gorącej podzięk. „Z wdzięcznością i radością przyjmuję dar, który kobiety duńskie czynią ojczyźnie — z radością nie tylko dlatego, że pomnaża on niebogie zasoby obrony narodowej, ale że to kobiety nasze połączyły się tak licznie w patriotycznym tym celu. Dowód to jest waszej gorącej miłości Danii i rękojmnia, że kraj nasz nie jest bezbronny, gdy go miłość ta strzeże. Przejęty najmocniejszym życzeniem, aby to święte uczucie wzmagalo się w kobietach duńskich, urozszerzało się do tych, którzy o środkach obrony ojczyzny rozstrzygać mają, składam wam dzięki ze wzruszonego serca pochodzące i proszę, abyście zechcieli powtórzyć je uczestniczkom waszem w tem dziele, w imieniu których stawiacie się tu przedemną.”

— Oświata kobiet tureckich i podniesienie ich nad niżki poziom dotychczasowy, czyni coraz większe postępy, popierane zgóry. Z własnych funduszów sułtana otworzoną została w Konstantynopolu miejska szkoła dziewcząt, zostająca pod kierunkiem Turczynki, średnio młodej panny, Kalawassy. Oddany został na użytek szkoły obszerny pałac, niegdyś własność jakiegoś baszy, i trzysta uczennic mieści może się tu wygodnie i zdrowo. Uczennice dzielą się na dwie klasy; wiek ich jest od lat siedmiu do czternastu; nauka polega głównie na czytaniu, pisaniu, historii tureckiej, rysunku, muzyce i robotach ręcznych, w których znaczny dział zajmuje szycie bielizny i krawiecczyzna. Uczennice przychodnie dostają w szkole w godzinach południowych obiad; pensyonarki, a tych jest sto, są zupełnie bezpłatnie utrzymywane kosztem rządu, i tych przeznaczaniem jest, aby później stały się nauczycielkami rządowych szkół dla dziewcząt.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz i powieści pod tyt.: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę *Panny Mani*.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dla prenumeratorów w Warszawie, na prowincyi i w Cesarstwie prospekt zbiorowego wydania:

DZIEŁ

słynego humorysty powieściopisarza

JANA LAMA.

Skład główny w księgarni M. Glucksberga.

TREŚĆ. Wróc, poezya przez Bronisława Grabowskiego. — Ubiegła chwila, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Generał Gordon, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Jerzy Brandes w Warszawie, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę „Panny Mani”. — 24 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Февраля 1885 года.

Koronka ro-
tą szydeł-
kową.

Rycina Nr 1 w Bl.
Nr 9.

Koronka ta
robi się z me-
dalionowej
minardisy
i krętej ba-
wełny Nr 60.
Zaczyna się
robić z dwóch
kawałków mi-
nardisy, które
kładają się
tak, aby ka-
żden czwarty
sznureczek,
przedzielają-
cy medaliony,
rzyżował się
czwartym.
rugiej! mi-
ardisy, a 8
medalionów

Nr 1. Spięcie z ok-
sydowanego srebr.



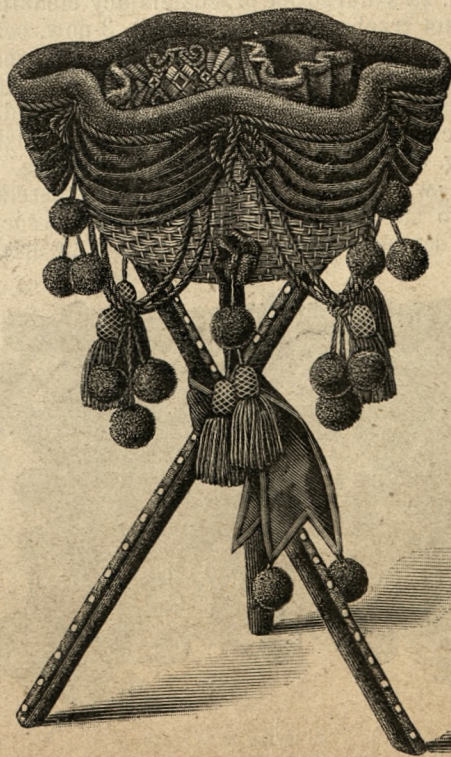
Nr 3. Tiunika z napiersnikiem.
(Do ryc. 17, oraz ryc. 19 w Blu. Nr 8).



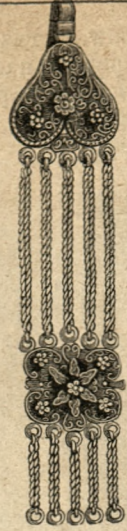
Nr 5. Suknia wizytowa z aksamitu i koronki.

Nr 6. Suknia wizytowa z materyi i koronki.

formowały koło; w srodku koła robi się
rozetka, a na krzyżujących się sznurecz-
kach krzyżyki ze słupków, po zrobieniu
których odcina się nitkę. Rozetka zaczy-
na się w następujący sposób: * 1 potrój-
ny i 2 podw. słup. ściągnięte w jedno ocz-
ko, w 2 i 3 петельkę medalionu, 7 pow. ocz.
3 słup. ściągnięte w jedno oczko, jak po-
przednio, 7 ocz. pow., od * 7 razy powtó-
rzyć, dalej 5 ocz. ścis. w pierwszy potrój-
ny słup. i 4 następne ocz. pow. na listek,
4 ocz. pow., 2 słup. ściągnięte w jedno o.,
15 razy naprzemian: 2 ocz. pow. i 1 li-
stek składający się z 3 podw. słup., ścią-
gniętych w jedno oczko, 2 ocz. pow., 1 o.
ścis. w ostatnie z 4 pow. ocz., 16 razy na-



Nr 9. Koszyzek do roboty.



Nr 2. Spięcie z ok-
sydowanego srebr.

przemian: 2 ścis.
ocz. i 1 łańc. ocz.
potem 3 pow. o.,
5 słup. ściągnię-
tych w jedno o.,
1 ścis. ocz., 6 sł.
ściągniętych
w jedno oczko;
trzy razy powtó-
rzyć, zamocować
i odciąć nitkę.
Połączywszy ro-
zetki krzyżyka-
mi, składającemi
się z 16 słupków
ściągniętych
w jedno oczko,
robi się kolej 1:
* 1 ścis. ocz. w 1
i 2 петельkę me-
dalionu, 2 razy
naprzemian: 5 o.
pow. i 1 ścis. o.
w dwie następne
petelki medalio-
nu, 5 pow. ocz.
3 słupki podw.



Nr 4. Spódnica do sukni ryc. 8 i 16.

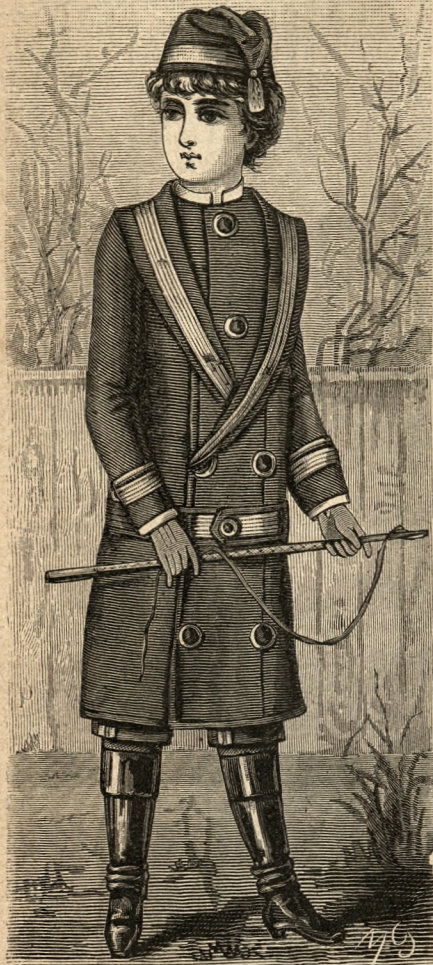


Nr 7. Suknia dla młodej pauny.



Nr 8. Suknia z materyału „Bizon”. Plecv. (Do ryc. 4 i 16)
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21 — 29.

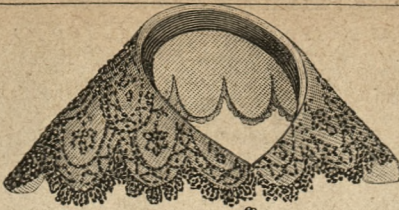
przedzielone 5 o. pow., 3 razy naprzemian: 5 pow. ocz. i 1 ocz. ściśle w dwie pętélki nastépnego medalionu, od † powtórzyć jeszcze dwa razy, potem od * powtórzyć. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 ocz. ściśle, 5 pow. ocz., które jednak w samym wycięciu zęba nie ro-



Nr 14. Paltocik dla chłopczyka od 6 do 8 lat. Przód. Krój i opis odw. str. tab. VII, fig. 50—55 (Do ryc. 29 w Bl. Nr 8).



Nr 17. Suknia z aksamitu i popeliny. Plecy. (Do ryc. 3, oraz ryc. 19 w Blu. Nr 8). Krój i opis odw. str. tabl. Nr V, fig. 31—41.



Nr 10 i 11 Kołnierzyk i mankiet.



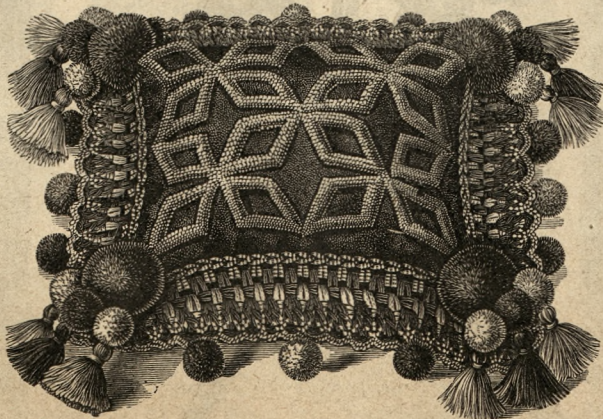
Nr 12. Czepczek z koronki i wstążki.

bią się wcale. Kolej 3 i 4 jak 2, tylko zamiast 5, robi się 6 ocz. pow. Kolej 5: * 1 ocz. ściś., 15 razy naprzemian: 5 ocz. pow. i 2 ściś. o. przedzielone 5 pow. ocz., 5 ocz. pow., 1 ocz. ściśle, od * powtarzać. Kolej 6: * 1 ocz. ściś., 2 pikoty (t. j. 5 pow. o. i 1 ści. ocz. w pierwsze z tychże), † 1 ocz. ściś., 5 pow. o. 2 słup. przedzielone 3 pikoty, 5 pow.



Nr 16 Stanik do sukni ryc. 8. Przód. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21—29.

ocz., od † 6 razy powtórzyć, dalej 1 ocz. ściś. i od * powtórzyć. U góry wycięcie zębów zapełnia się małymi rozetkami: kółeczko z 10 pow. oczek, w koło którego robi się 9 listków, przedzielonych 5 pow. ocz., 1 ocz. ściś. w pierwszy listek i 3 ocz. łańc. w 3 następne pow. ocz., 1 ocz. pow. w ostatnią pętélkę przedostatniego medalionu, 3 pow. o. 1 ściś. ocz. za sznureczek przedzielający medaliony (przytem trzeba robotę odwrócić), 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w środkowe z powietrznych ocz., pomiędzy listkami rozetki. 7 pow. ocz., zaczepiając środkowem z nich dwie pętélki nastépnego medalionu, 1 ocz. ściś. w środkowe z 5 pow. ocz. rozetki, 4 pow. ocz. zaczepiając najbliższą pętélkę, 1 ściśle ocz. w najbliższą pętélkę tegoż i 3 pętélkę nastépnego medalionu (trzeba przytem odwrócić robotę), 1 ści. ocz., 3 pow. ocz., 1 ści. ocz. w środ-



Nr 19. Poduszka na tualetę. Wzór odw. str. tabl. Nr IX, fig. 59.

kowe z pow. ocz. rozetki; 7 pow. ocz., środkowem zaczepiając 2 następne pętélki medalionu, 3 ocz. pow., 1 ściś. o., 3 pow. ocz., 1 ściśle ocz. w środkowe z pow. ocz. rozetki, 1 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 1 pętélkę najbliższego medalio-



Nr 13. Kołnierzyk aksamitny. Tył. Do ryc. 23 w Bl. Nr 8).

nu, zamocować i uciąć nitkę. U góry koronki robi się kolej 7: * 1 słup. w pętélkę, w którą zrobione jest ostatnie oczko poprzedniej kolei, 2 ocz. pow., 2 sł. ściągnięte w jedno oczko, 3 pow. ocz. 2 ocz. ściś., 1 ocz. pow., 3 ocz. ściś., 1 pow. ocz., 2 ocz. ściś., 3 pow. ocz. 2 słupki ściągnięte w jedno oczko, 2 ocz. pow., 1 słup.



Nr 15. Sukienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Przód. Krój i opis odw. str. tab. N. VI, fig. 42—49. (Do r. 28 w Bl. Nr 8).



Nr 18. Suknia z aksamitu i repsu „ottoman”. Plecy. (Do ryc. 22 w Blu. Nr 8). Krój i opis pier. str. tabl. Nr I, fig. 1 do 10.

w pierwszą pętelkę medalionu, 3 ocz. pow., 1 ocz. ści., w 2 następne pętelki, 3 pow. ocz., 1 ocz. ści. w następną pętelkę, 2 ocz. pow., 1 słup., 2 pow. ocz., 1 słup. w dolną część poprzednio zrobionego słup., 2 pow. ocz., 1 ści. ocz., 2 ocz. pow., 1 ści. ocz., 3 ocz. pow., 1 ocz. ściśle; od * powtarzać. Kolej 8 naprzemian: 1 słup. i 1 ocz. pow. Kolej 9: Ciągłe po 2 słup. przedzielone 2 pow. ocz. Kolej 10 robi się jak 8.

Podkładka pod papier do pisania płaskim i pocztowym ścięciem.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 8.

Na tę podkładkę potrzebny jest 33 cent. szeroki, a 44 centim. długi kawałek tektury, z obu stron zaopatrzony w wielokrotnie złożoną angielską bibułkę. Na każdy róg podkładki nasuwa się czarny skórzany, ozdobiony haftem narożnik w kształcie pochewki. Po przeniesieniu na skórę deseni ryciny 14 w Bluszu Nr 8, haftują się większe kwiatki różowym kordonkowym jedwabiem, niezapominajki niebieskim i różowym, listki zielonym i oliwkowym w wielu odcieniach, płaskim i supelkowym ścięciem; pyłkowe niteczki robią się żółtym rozdwojonym jedwabiem w dwóch cieniach, żyłki i wąsiki zielonym i oliwkowym jedwabiem. Deseń podany na rycinie 15 w Bluszu Nr 8, haftuje się różnokolorowym jedwabiem, sznelą i złotymi nićmi, stępnówką i ścięciem pocztowym.

Dwie koronki szydełkową robotą.

Rycina Nr 24 i 25 w Bl. Nr 8

Obie koronki robią się z krętej bawełny Nr 70. Koronka ryc. 24 robi się w następujący sposób: 12 pow. ocz., 1 słup. podw. w pierwsze z nich, 3 pow. ocz. w 9 z 12 pow. ocz., * 11 pow. ocz. w 2 z nich, 14 ści. ocz., z których 3 i 4, 5 i 6, 7 i 8, 9 i 10, 11 i 12 przedzielone są pikotem, 1 ocz. ści. w 1 z 14 ocz. ści., 5 pow. oczek, 1 słup. podw. w poprzednio zrobiony słup., 3 pow. ocz. w drugie z 5 pow. ocz., 5 pow. ocz., zaczepiając przedostatni z 5 pikotów, 10 pow. ocz., zaczepiając 2 z 5 pikotów, 14 ocz. ści., z których 1 i 2, 3 i 4, 5 i 6, 7 i 8, 9 i 10, 11 i 12, 13 i 14 przedzielone są pikotami, w około 10 pow. ocz., 7 ści. ocz., z których 3 i 4, 6 i 7 przedzielone są pikotami, w około 6 ostatnich z 9 pow. ocz., 1 ocz. ści. w 3 ocz. z tych dziewięciu, 4 ocz. pow., 1 słup. podw., 3 ocz. pow. zaczepione o pierwsze z 4 pow. ocz., od * powtarzyć.

Koronka przedstawiona na ryc. 25 robi się na odpowiednio długim założeniu. Kolej 1: * 1 o. ści., 11 ocz. pow., 8 ocz. założenia opuścić, 1 ocz. ści., 2 listki (robi się 5 ocz. pow. i 2 podw. słup. ściągnięte w jedno ocz.) 6 ocz. założenia opuścić i od * powtórzyć. Kolej 2: * 1 ocz. ści. i 1 oc. w środkowe z 11 pow. ocz. poprzedniej kolei, 4 o. pow., 1 listek, 1 ści. ocz. w ocz. znajdujące się pomiędzy dwoma listkami, 1 ści. ocz., 4 pow. ocz. od * powtórzyć. Kolej 3: * 1 ocz. ści. w czwarte ocz. pow. poprzedniej kolei, 1 ocz. pow., 2 razy naprzemian: 1 pik. i 1 ocz. pow., potem 3 słupki formujące listek, 1 pow. ocz., 3 razy naprzemian: 1 pikot i 1 pow. ocz., dalej 1 listek, 1 pow. ocz., 2 razy naprzemian: 1 pik. i 1 pow. ocz., 1 ści. o. 4 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 4 z drugiej strony założenia, zawsze naprzemian: 1 słup. i 1 pow. ocz.

Suknia wizytowa z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 5.

Czarna jedwabna spódnica tej sukni, z koronkowym podłożonym kremową materią przodem (tablier), pokryta jest czarnym aksamitem formą spódnicy. Krótki aksamitny staniczek, przybrany jest koronkowym kołnierzykiem, takimże mankietami, oraz kokardami z atlasowej wstążki; do aksamitnego paska przyszyte są w równych odstępach metalowe agraftki.

Tualeta bawna z jedwabnej materii i koronki.

Rycina Nr 6.

Spódnica z różowej materii „satin-merveilleux“, oszyta u dołu 8 cent. szeroką, uplisowaną falbanką. Zapinany z tyłu jedwabny staniczek, połączony jest z szerokim koronkowym, u góry formującym lepek wolantem, który zastępuje tiunikę. Koronkowa berta, rękawki z ufałdowanej koronki, torsadka z perełek, kokardy i agraftki, dopełniają przybrania sukni.

Suknia dla młodej panny.

Rycina Nr 7

Spódnica pokryta oliwkowym kaszmiem, ułożonym w zakładki. Stanik zapięty ukośnie, z fałdowanym przyszytym karczkiem, przybrany podług ryciny aksamitnym ranwersem i paskiem z aksamitnej wstążki, zakończonym z przodu kokardą.

Koszyczek do roboty.

Rycina Nr 9

Trzećniowy koszyczek umieszczony jest na trzech krzyżujących się drewnianych nóżkach, z których każda przytrana jest paskiem pluszu miedzanego koloru, przymocowanym gwoździkami o płaskich żółtych łepkach. W miejscu krzyżowania się, nóżki związane są skośnym, 12 cent. szerokim, objętym rulonikiem z pluszu kawałkiem oliwkowego jedwabnego repsu, z pomponikami ze smyrneńskiej oliwkowej włóczki. Przy każdej nóżce znajduje się pluszowa rozetka, ze środka której zwiesza się sznur z pomponikami i kwastami z oliwkowej włóczki, pokrytymi złotą szydełkową siatką. Koszyczek zewnątrz przybrany jest festonami upiętymi z kawałka repsu, który musi być 21 cent. szeroki, a u dołu objęty pluszowym rulonikiem, oraz sznurami, kwastami i pomponami. Na wewnętrzne przybranie koszyczka, potrzebny jest 11 cent. szeroki skośny kawałek pluszu odpowiedniej długości i takież repsu, które należy zeszyć wzdłuż i przybrać repsowy kawałek czterema bukietami, haftowanymi różnobarwną włóczką. Następnie ułożyć pluszowy brzeg w fałdy, przymocować je do dna koszyka, które potem przykryć odpowiednio wykrojonym gładko pluszem, obciążonym kawałkiem kartonu, objąć brzeg koszyka skośnym pluszem i przyszyć wewnątrz cztery fałdowane kieszenie. Na kieszeń potrzebny jest kawałek repsu, 33 centimetrów szeroki, a 11 centimetrów długi, który w górze musi być oszyty pluszowym rulonikiem a w dole ułożony w podwójną kontrafałdę.

Kołnierzyk i mankietki.

Rycina Nr 10 i 11.

Kołnierzyk i mankietki zrobione są ze złotej gazy, naszytej czarnymi perełkami, wszyte zaś są w czarne jedwabne paski.

Ubranko z koronki i wstążki.

Rycina Nr 12.

Podstawa tego ubranka, 32 centimetrów długa, 7 z przodu, a na końcach 3 centim. szeroka, robi się ze sztywnego tiulu i obejmuje się drutem, a następnie wstążeczkę. Podstawę pokrywa się podług wskazania ryciny, 16 centimetrów szeroką częścią, zeszytą z dwóch 55 centimet. długich kawałków koronki, oraz uplisowaną i przewiniętą wężykowato koronką, która przyszywa się także do paska łączącego w tyle końce podstawy. Pasek ten podobnie jak i kokardy ozdabiające ubranko, zrobione są z 2 i pół centimetra szerokiej aksamitnej wstążki, zwanej „velours-frisé“.

Poduszka na tualetę.

Rycina Nr 19. Wzór odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 59.

Poduszeczka powleczonea pluszem miedzanego koloru, na wierzchniej stronie przybrana haftem, wzór którego podaje fig. 59 i otoczona szlakiem zrobionym szydełkiem z cienkiej szneli i krętej przędzy koloru miedzanego i „fraisé“. Na odpowiednio długim założeniu, ze szneli miedzanego koloru, robi się kolej 1 ciągle naprzemian: 1 ściśle oczko, 1 oczko powietrzne, 1 ocz. opuścić. Kolej 2 ze szneli koloru „fraise“: 1 ściśle oczko w powietrzne oczko poprzedniej kolei, jedno oczko powietrzne i tak dalej. Kolej 3: ze szneli miedzanego koloru: * 1 słup. w oczko powietrzne, 2 oczka powietrzne, 1 słup. i tak dalej. Kolej 4 z krętej przędzy: * 2 ściśle oczka przedzielone 2 oczkami powietrznymi, w 2 ocz. powietrzne poprzedniej kolei, 1 oczko ściśle w oczko znajdujące się pomiędzy dwoma słupkami, od * powtórzyć. Kolej 5 robi się z drugiej strony założenia: 1 ściśle oczko w oczko powietrzne, 1 powietrzne oczko. Do szlaku przymocowują się bombelki z włóczki, oraz kwasty z jedwabiu koloru miedzanego i „fraise“, a przyszywa się je do poduszki podług ryciny.

Przepisy gospodarskie.

Pasztet strasburgski z wątróbki gęśiej, lub jakiegokolwiek z drobiu.

Dwie wątróbki gęsie, czy indyjskie, lub cztery kaczki, czy kurcze, namoczyć na godzinę w mleku, aby się powiększyły i wymiękły z krwi, a następnie pod pokrywką udusić bez soli w klarownym maśle, nie długo, aby nie stwardniały. Oddzielnie ugotować pół funta, stosownie do wielkości wątróbek, jeżeli małe, to mniej, młodej słoniny, z jednym dobrym, średniej wielkości suszonym grzybem, gdy to zupełnie miękkie, pokrajać słoninę, grzyb i wątróbki, utłuc w moździerzu, włożyć w rondel i gdy się pod pokrywką na małym ogniu rozgrzeje, mieć utartą na tarce i sparzoną poprzednio jedną średnią cebulkę wrzucić w ten gorący farsz, wymieszać dobrze na ogniu, żeby się cebula zmacerowała; dolać w miarę potrzeby owego smaku ze słoniny i grzyba i póki gorące przezasować wszystko razem przez rzadkie sito — dosypując do smaku soli i odrobinę białego pieprzu. Włożyć wszystko w puszkę porcelanową i używać smarując na masło na bułeczkę. Bardzo podnosi smak, jeżeli zamiast grzyba, włożyć parę, choćby suszonych trufli. Robią taki sam pasztet z masłem młodem, zamiast słoniny — jednak lepszy stokroć ze słoniną, gdyż masło kwaśniej zbył szybko i robi pasztet nie do użycia, ze słoniną zaś może trwać najmniej cztery tygodnie trzymany w chłodzie.

Sos majonezowy z twardych jaj.

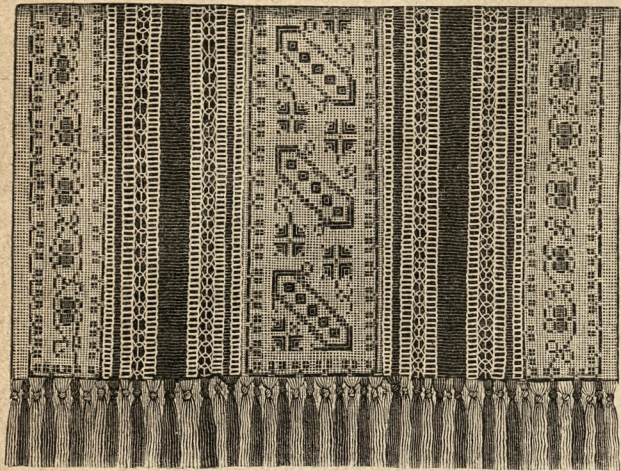
Dziesięć twardych żółtek (jaja na twardo gotują się osiem minut) przetrzeć przez rzadkie sito, rozetrzeć wałkiem, dolewając po trochu, po kilka kropel raczej — pół funta najlepszej oliwy, gdy ta wyjdzie, wcisnąć sok z dwóch cytryn przez sitko je wyciskając, lub wlać trzy łyżki mocnego estragonowego octu, posolić, wyspać odrobinę pieprzu białego i łyżeczkę od herbaty strychowaną cukru mialkiego. Kto lubi i chce, aby sos był mocniejszy, niech włoży łyżkę, lub łyżeczkę — stosownie do smaku — angielskiej musztardy.

Chcąc cały ten sos zrobić gęstszym i mieć go więcej, do polania ryby lub drobiu, wziąć trzy łyżki zwykłej zaprawy do sosów, to jest młodego masła, zagotowanego z równą ilością maki, którą to zaprawę powinno się mieć zawsze w spiżarni gotową, rozebrać powoli gotowym sosem i wymieszać na równolitą masę, dolewając kilka łyżek rosółu. Bardzo też dobrze smakuje, do goto-

wego sosu domieszać trzy łyżki dobrej kwaśnej śmietany — majonez będzie jasny zupełnie i smaczny bardzo, ale nie może być dłużej trzymany — należy go użyć zaraz, to jest tego samego dnia.

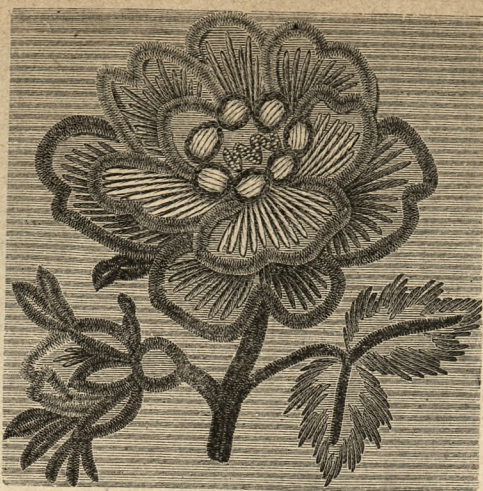
Klarowanie bulionu.

Bulion podany w wielu miejscach, jest zawsze mętny, co jest bardzo nie estetyczne, a często nawet



Nr 20. Serwetka haftowana ścięciem krzyżowym.
(Do ryc. 5 i 6 w Blu. Nr 8).

nie mile. Otóż chcąc podać czysty bulion, trzeba na trzy filizanki, wlać pół-kwarty wody gorącej w rondel, wrzucić w nią dwa łuty drobno postruganego bulionu francuskiego, wziąć łut surowego mięsa, pokrajać go w drobną kostkę, włożyć jedno rozbite białko, z którym razem jeszcze rozbić mięso, odstawić bulion rozpuszczony, ale nie gotujący się jeszcze, wlać w niego łyżkę zimnej wody, aby wystygł, wymieszać z rozbitym białkiem z mięsem, posolić, wstawić razem na wolny ogień, mieszać łyżką, żeby mięso z białkiem nie opadło na dno, a gdy się zagotuje, a szumowiny zbiorą na wierzchu, wtedy przecedzić przez gęste jedwabne sitko od razu w wygrzane filiżanki stojące na blasze.



Nr 21. Rzut na tło do serwety r. 22. Wielkość natur.

Obiad na Niedzielę.

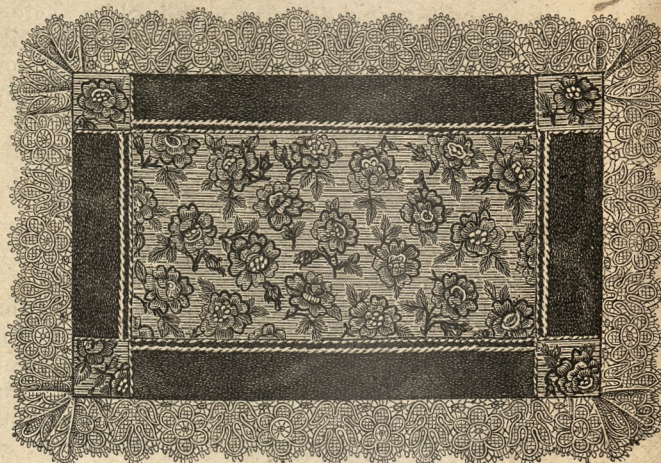
1. Rosół rumiany.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Sztukamięsa biała z biszamelem.
4. Potrawa z pulard.
5. Kwiczoły z borówkami.



Nr 23. Serweta ze szlakiem haftowanym (Do ryc. 24).

Doświadczenia gospodarskie.

1. Kasztany najlepsze gotowane, nalane zimną wodą — bez żadnego nakrawania — obierając do jakiego kuchennego użytku, trzeba je gorące z wody wyjmować i obierać, gdyż wystudzone przez odłanie wody, nie dadzą się dobrze obierać.
2. W rondlach miedzianych, pomimo dokładnego



Nr 22. Serweta haftowana. (Do ryc. 21).

oczyszczenia i mycia, okazuje się co pewien przeciąg czasu osad szary, którego doczyścić za pomocą popiołu i wiechcia nie można, a usunąć potrzeba koniecznie, jako szkodliwy niedokwas metalu. Otóż raz na tydzień trzeba koniecznie rondle wygotować wodą z sodą, a po godzinie gotowania, rondle będą jakby świeżo pobielane; wypłukać i wytrzeć do sucha — wygotowana zaś woda służyć będzie do szorowania podłogi w kuchni.

L. C.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do Nr 8 Bluszczu.



Nr 24. Szlak do serwety ryc. 23 oraz do portiery ryc. 7 w Blu. Nr 8 haftem krzyżowym.